

WYPRAWA

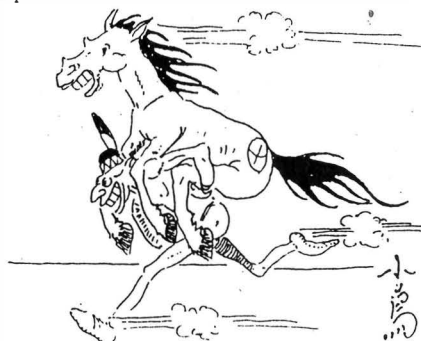
Trzech młodych wojowników postanowiło zdobyć kilka koni. Wyprawili się w tym celu do pobliskiego obozu wrogów. Tuż przed świtem zakradli się do ich wioski i bez przeszkód wyprowadzili konie. Wszystko poszłooby gładko, jak po perłach, gdyby nie spotkali przechadzącego się niedaleko swego obozu tamtejszego szamana. Zobaczywszy co się dzieje próbował zatrzymać pędzące w jego kierunku stado, ale wkrótce zniknął w tłumach kurzu wzniesionych przez zdezorientowane konie. Nie mogąc dojrzeć szamana, młodym wojownikom szybko wróciła odwaga, opanowali sytuację i pognali konie dalej. Już prawie znikali za pobliskim wzgórzem, gdy w oddali dał się słyszeć donośny głos szamana. Nie bardzo wiedzieli o co mu chodzi, ale przypuszczali (z intonacji głosu), że obrzucił ich wyzwiskami, z czego się bardzo ucieszyli i pokrzykując wesoło popędzili konie do domu.

Do swego obozu dotarli dopiero wieczorem. Z wielkim wyciem zapędzili stado na sam środek obozu. Od razu zjawił się tam wszędobylski wódz, dumny z powodzenia młodych wojowników. Otrzymał w prenumeracie trzy dorosłe, ale niskie ze względu na wzrost wodza, konie, które zaraz przywiązał do palików przy swoim tipi. Szybko przeliczył pozostałe stado; 24 konie. Pięknie. Młodzi wojownicy postanowili zatrzymać je dla siebie, po 3 dla każdego. Byli jednak strasznie głodni i wódz zaproponował im, żeby poszli coś zjeść, a on z pomocą ludzi, których by zobaczyć uprowadzone konie zeszło się całe mnóstwo, podzielił je na trzy równe części.

W całym obozie panował wielki harmider, prawie wszyscy zaangażowani byli w przepędzanie koni, które jak nigdy zachowywały się wyjątkowo dziwnie. Podzielono je, co prawda, na trzy mniejsze stada, ale nigdy nie udało się zrobić tak, by w każdym stadzie była równa ilość tzn. 8 koni. Zawsze, gdy próbowano przepędzić kilka do innego stada, zrywały się i przedostawało się ich akurat tyle, ile liczyło stado, do którego próbowano je przepędzić. Po każdej próbie przepędzenia koni, stado do którego je przepędzano powiększało się dwukrotnie. Nigdy nie udało się przepędzić nawet jednego konia z mniejszego stada do większego.

Było już grubo po północy. Wszyscy rozeszli się do domów, zostało tylko trzech młodych wojowników i niestrudzony wódz, który szybko domyślił się, że cała sprawa ma jakiś związek z wrogiem spotkanym na drodze i postanowił, że rozsądnie będzie iść spać. A problemy rozwiąże się rano, kiedy szaman się obudzi, który tej nocy spał jakoś wyjątkowo głęboko.

Cóż było robić, młodzi wojownicy poszli spać, a rano, gdy tylko się obudzili, udali się wprost do szamana. Wiedzieli gdzie go szukać. Siedział jak zwykle na małym wzniesieniu przed swoim tipi, opierając się o pięknie zdobione oparcie na plecach. Zawsze jakby śpiący, teraz z szeroko otwartymi oczami przyglądał się kręcącemu się niepewnie przy koniach wodzowi. Opowiedzieli mu o całej wyprawie, o wrogu szamanie i o problemach z koniami. Szaman nie zastanawiając się zbyt wiele zniknął w swoim tipi, skąd dochodziły odgłosy, jakby czegoś szukał. Jednak już po chwili pojawił się i od razu podszedł do koni. Wódz, jakby ucieszony, popatrzył na niego swymi podkrążonymi oczami, wzruszył ramionami i poszedł spać. Szaman przeliczył szybko wszystkie stada. W pierwszym było 11 koni, w drugim 7, a w trzecim tylko 6. Przy pomocy kilku przyglądających się ludzi, którzy ze względu na swoją ciekawość zawsze są pod ręką, tylko trzy razy przepędził konie, które nadal zachowywały się tak, jak w nocy. W każdym stadzie było po 8 koni.



Ile koni i z którego stada do którego przepędzał szaman?

Rozwiązanie zadania prosimy nadsyłać do redakcji: TAWACIN, ul. Szkolna 9, 62-069 Palędzie. Wśród prawidłowych odpowiedzi rozlosujemy trzy nagrody niepodzianki.

113



WIOSNA - LATO 1992

NR 2 (19)



Składanie tego numeru zaczęło się w momencie, gdy red. Kołeczek przyniósł artykuł Matthew Restalla "Tańczący z historią". To pewnie sprawa tytułu, że zwrócił na niego uwagę w tym wydaniu "Akwasane Notes". Temat Irokezów, ich konstytucji i jej wpływu na amerykańską demokrację wydał nam się na tyle interesujący, że zdecydowaliśmy się przygotować numer "irokecki". Ma biera to szczególne znaczenia w kontekście 500-lecia "odkrycia" Ameryki przez Kolumba i wkładu indiańskich kultur do kultury ogólnoświatowej.

Obok wspomnianego już artykułu Restalla zwracamy szczególną uwagę na wywiad z Susan Shown Harjo "Nie mamy powodów by czcić Kolumba", a wszystkim zakochanym po lecie i zlocie proponujemy lekturę "Love story po irokezku" Toma Portera. Poza tym, oczywiście, poezja, film i relacje z imprez.

W tym numerze, niestety, nie zmieściła się druga część eseju Pauli Gunn Allen "Histycyzm Indian Amerykańskich". W ostatniej chwili otrzymaliśmy przesłankę od Jacka Piwowskiego, naszego korespondenta z USA. Ogromny ładunek emocji w opowieści Jacka tak dalece nam zawładnął, że zdecydowaliśmy się na przesunięcie eseju Pauli Gunn Allen do następnego numeru.

Choć mamy sporo opóźnienia to zapowiadamy, że w tym roku ukaza się jeszcze dwa numery.

Redakcja



Redakcja: TAWACIN

Dąbrowa, ul. Szkolna 9
62-069 Palędzie

Redaguje zespół:

Roman Bala, Wiesław Karnabal (redaktor naczelny), Wiesław Kołeczek, Marek Maciołek i Marek Nowocień.

Wydawca: TIPI

ul. Łąkowa 3
64-050 Wielichowo

Druk:

Zakład Usług Poligraficznych WI-MARK
Kalisz, ul. Czereśniowa 10.

W numerze:

- o obchodach 500-lecia "odkrycia" Ameryki.....3
- irokeska historia powstania świata...5
- Wielkie Prawo Pokoju.....5
- o Michaelu T. Benwellu naszym indiańskim korespondencie.....14
- poezja Petera Blue Clouda.....15
- love story po irokezku.....18
- o trzynastodniowym pasie wampunowym wysłanym przez Kongres USA do indiańskich narodów.....21
- o filmach z Indianami.....24
- Indian i wspomina Anna Peichert...30
- niesamowite wydarzenia Jacka Piwowskiego, uczestnika Świętego Biegu w Ameryce Północnej.....32
- Poznański Bieg Poparcia.....33
- list do Prezydenta Stanów Zjednoczonych George'a H.W. Busha...40
- 1992 - Rokiem Amerykańskich Indian...41
- o imprezach w Rotterdamie.....42
- jak wykonać indiański bębenek.....44
- ponadto wiele relacji z różnych wystaw i imprez, listy oraz ogłoszenia.

TAWACIN jest pismem polecanym przez Polskie Stowarzyszenie Przyjaciół Indian skr. poczt. 4, 15-472 Białystok 21.

Na okładce:

Ilustracja Kahionhesa. Swobodny wizerunek głównych elementów Wielkiego Prawa Pokoju, ustanowionego przed wiekami przez Twórcę Pokoju - Deganawidę na terytorium Irokezów.

Podziękowania:

Redakcja dziękuje Markowi Cichomskiemu za pomoc w dystrybucji TAWACINU. Ani ze Sztumu oraz Małgorzacie i Erwinie z Krakowa za tłumaczenia. Piotrowi z Poznania i Monice z Radomia za pomoc przy tworzeniu TAWACINU oraz wszystkim tym, którzy nadesłali do nas materiały. W miarę możliwości będziemy je wykorzystywać.

Rozwiązanie zagadki z Tawacinu nr 1 (18)

1. Tipi w paski - Tłusty Bizon - Karkówka
 2. Tipi białe - Je Na Surowo - Wętroba
 3. Tipi białe - Ciągłe Głodny - Język
 4. Tipi niebieskie - Zjadający Kości - Udo
 5. Tipi czerwone - Wielki Brzuch - Żebro
- Za prawidłowe rozwiązanie nagrody kasety z tradycyjną muzyką indiańską otrzymują: Kasia Kałota z Cieszyńska, Iarcin Pokorski z Rzeszowa, Dariusz Pohl z Poznania oraz Artur Urbański również z Poznania.

NIE MAMY POWODÓW BY CZCIĆ KOLUMBA

Wywiad z Susan Shown Harjo, 45-letnią Indianką Cheyenne - Creek, była przewodniczącą Krajowego Kongresu Indian Amerykańskich (NCAI), poetką, prezesem Fundacji Gwiazdy Porannej (Morning Star Foundation) z Waszyngtonu, koordynującej tubylcze obchody pięćsetlecia. Wywiad opublikowano w numerze specjalnym "Rethinking Schools 1992".

Dlaczego nie przyłączacie się do świętowania 500-lecia wyprawy Kolumba?

Jako Tubylczy Amerykanie z tej czerwonej części Matki Ziemi nie mamy powodów do świętowania inwazji, która spowodowała zagładę tak wielu naszych ludzi i nadal powoduje zniszczenia. Europejczycy ukradli naszą ziemię i zabili naszych ludzi.

Ponieważ jednak pięćsetlecie jest hasłem obchodów, stwarza też okazję do przedstawienia punktów widzenia Tubylczych Amerykanów na następne 500 lat.

Kolumb był po prostu "człowiekiem swoich czasów". Dlaczego jesteście aż tak krytyczni w stosunku do niego? Dlaczego nie spojrzcie na pozytywne aspekty jego dziedzictwa?

Ludziom, którzy walczą o przetrwanie bardzo trudno dostrzec pozytywne aspekty śmierci i zniszczenia - szczególnie, gdy ciągną się one aż do naszych czasów. Nie bez powodu jesteśmy dziś najbiedniejszymi ludźmi w Ameryce. Nie przypadkowo mamy najwyższy odsetek samobójstw wśród nastolatków. Nie przypadkowo nasi ludzie mają złą sytuację mieszkaniową, często chorują i żyją krócej, niż większość społeczeństwa.

Ten powód wiąże się z faktem, że znaleźliśmy się na drodze cywilizacji zachodniej i na drodze jej ekspansji na zachód. Cierpieliśmy z powodu takich "ekscesów" tej cywilizacji, jak morderstwa, grabieże, gwałty, zniszczenie głównych szlaków wodnych, zniszczenie ziemi i zanieczyszczenie powietrza.

Jakie są te "pozytywne" aspekty dziedzictwa Kolumba? Jeśli mówimy o koniu - to w porządku. Lubimy konie,

umiejętność posługiwania się nimi Indianie podnieśli do rangi sztuki wojennej, szczególnie u Szejenów i na Równinach.

Czy to był pozytywny rezultat tej inwazji? Tak, ale czy oddalibyśmy za nie życie tych wszystkich indiańskich ludów, które na skutek tej inwazji przestały istnieć? Nie.

Lubimy też koraliki, które przywieziono z Europy i z posługiwania się nimi także uczyniliśmy sztukę. Ale czy zgodzilibyśmy się w zamian za to na masakry naszych ludzi takie, jak nad Sand Creek?

Dlaczego zatem koncentrujemy się na Kolumbie, a nie na tych wszystkich prezydentach Stanów Zjednoczonych, którzy także byli odpowiedzialni za śmierć i wyniszczenie Indian? Bo to jest jego 500 lat; jego pięćsetlecie.

Czy Krytyka Kolumba nie jest formą ataku na Hiszpanów? Czy oni byli gorsi od innych europejskich przybyszów?

Według mojej oceny Hiszpanie nie byli gorsi od innych Europejczyków. Gospodarka niewolnicza i poddarcza, istniejąca w północnej Europie - jak można ją porównać pod względem okrucieństwa i długofalowych skutków z hiszpańską Inkwizycją?

Dla mnie jest to kwestia represyjnej natury i arogancji chrześcijańskich religii. I to trwa do dziś.

Nasze indiańskie religie nie są religiami misyjnymi. Uczy się nas szacunku dla innych religii. Przeżyliśmy szok, kiedy zetknęliśmy się z nawracającymi fanatykami, którzy uczyli, że jeśli nie da się uratować twojej duszy, to lepiej, żebyś nie żył - a jeśli twoja dusza może być zbawiona, to powinien być martwy, aby móc iść do nieba.

Jak ta arogancja i ignorancja przejawia się dzisiaj?

Jak? No cóż, na przykład Kościół katolicki ogłosił, że rok 1992 powinien być czasem wybaczenia, pojednania i świętowania ewangelizacji obu Ameryk. Według mnie, jak można wybaczyć i pojednać się, skoro zabito dziesiątki tysięcy tubylców, którzy nie chcieli nawrócić się na niezrozumiałą dla nich religię, lub nie rozumieli języka tych, którzy tego żądali?

Trudno brać na poważnie przeprosiny, którym nie towarzyszy żadośćuczynienie. To tak, jakby mówili: "Przykro nam, ale poprawimy się na następnej półkuli". To nie złatwia sprawy. Mielisimy już dość deklaracji bez pokrycia.

Kombinacja arogancji i ignorancji prowadzi także do czynienia z Indian maskotek, do dehumanizowania ich i traktowania w sposób stereotypowy. Tak dzieje się w świecie sportu, w reklamie i w ogóle - w życiu społecznym.

Doskonałym tego przykładem jest drużyna futbolowa Washington Redskins. W języku angielskim nie ma bardziej obraźliwego określenia dla Indian, niż Redskins - "czerwonoskórzy". A tymczasem nazwa ta funkcjonuje w samej stolicy i nikt tego nie zauważa. Ponieważ jesteśmy

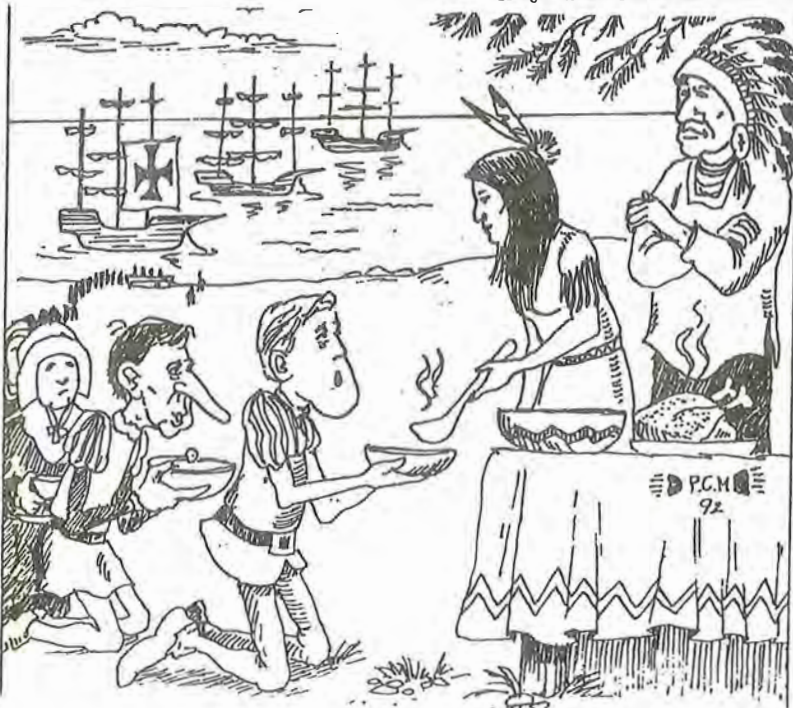
tzw. mniejszością niedostrzegalną (czyli nie rozpoznawalną po wyglądzie), dla większości ludzi rasizm w stosunku do nas również jest niedostrzegalny.

Nie ma zespołów sportowych, które nazywałyby się Białolice ze Stolicy, Czarne Damy z Alabamy, Żydzi z Florydy, czy Mormoniaki z Kentucky. A gdyby nawet były, to z pewnością nie długo.

Dlaczego nie wykorzystać pięćsetlecia do świętowania amerykańskiej różnorodności i wkładu w nią wszystkich - tak Europejczyków, jak i Tubylczych Amerykanów?

I tak znajdzie się mnóstwo ludzi, którzy będą przedstawiać punkt widzenia Kolumba i całej cywilizacji Zachodu. Nam zaś chodzi o przedstawianie opinii ludów tubylczych na naszą historię i współczesność. Pragniemy też, aby do świadomości publicznej dotarło, że rzeczywiście mamy przed sobą przyszłość na tej planecie. Jest to coś, czego zabrakło nawet w uważanym za najbardziej postępowy filmie amerykańskim, w "Tańczącym Z Wilkami".

Bardziej interesuje nas to, co było 500 lat przed Kolumbem i co będzie przez następne 500 lat. Prawda o środkowych 500 latach ukryta jest w sercach ludzi na całym świecie, chociaż cukierkowata wersja historii zamazała szczegóły.



Krzysztof Kolumb pierwszy w kolejce po amerykańską zapomogę.

Czy krytyka Kolumba nie jest czasem zwykłym zastępowaniem europocentryzmu przez rodzaj "tubylczego centryzmu"?

Ludy prześladowane potrzebują skoncentrowania się na sobie samych. Rasizm oraz centryzm stają się problemami, gdy jest się częścią dominującego społeczeństwa i w wyniku swojego centryzmu podporządkowuje się innym ludzi.

Czy krytyka Kolumba nie jest formą udowadniania "politycznej poprawności"?

Europocentryczny punkt widzenia, po obnizeniu leżącego u jego podstaw fałszu, przedstawia inne punkty widzenia jako równie fałszywe lub niejednoznaczne.

Uczucia są zwykle czymś niejednoznacznym. Ale są pewne sprawy, które nie mają drugiej strony. Na przykład, jeśli spojrzymy, kto zanieczyścił całą naszą wodę, powodując tyle śmierci i chorób tylko w tym jednym kraju, wtedy będziemy mieć pewne pojęcie na temat tego, gdzie leży problem. Widać wtedy, która strona może ujawniać prawdę, a która - ją ukrywać. (...)

Zaczniemy zajmować się tym, co w rzeczywistości jest niepodważalne. Świat pogrążony jest w chaosie. Ten kraj jest w chaosie. Ludzie, którzy płacą najwięcej w tym kraju, to biedne kolorowe dzieci i biedni kolorowi starcy. Społeczeństwa, które nie troszczą się o swoją młodzież i starców są społeczeństwami dekadentkami, rozpadającymi się.

Myszę, że wielu ludzi daje dowód tej dekadencji i rozpadu, gdy decydują się na marnowanie czasu na teoretyczne debaty. Jest wiele spraw, w których mogą coś zrobić, a nie robią nic.

Co powinno być celem nauczycieli, którzy w szkołach uczą o Kolumbie?

Po pierwsze, nikt nie zna prawdy o Kolumbie. Jego historia sama w sobie jest bardzo złożona. Zbyt często przedstawia się tę historię jako romantyczny mit, a niewygodne fakty o Kolumbie się pomija.

Wyjaśnienie nieprzyjemnych prawd o Kolumbie nie podważa faktu, że był on w stanie dotrzeć do tych wybrzeży w trzech małych łódkach. Co więcej, nadaje to opowieści o Kolumbie większej głębi. Poza tym ułatwia to dzieciom w szkole zaakceptowanie także innych spraw.

Nauczyciele miszą szanować prawdę. Co się stanie, jeśli ja siedzę w klasie, a nauczyciele mówią mi, że pan Thomas Jefferson był jednym z największych ludzi na świecie? Ja wiem też, że był właściwiecieniem niewolników, ale oni tego nie mówią. Co zrobię, jeśli będą mi mówić: "Nie używaj narkotyków i nie nadużywaj alkoholu"? Czy nie pomyślę, że tu też może istnieć druga strona? Co jeszcze mówią mi nieprawdziwego?

Dzieci są bystre. Nie doświadczyły w życiu dość kłopotów, by wiedzieć, że powinny być potulne jak owieczki. Ale tego właśnie uczy się je w szkołach - jak poddawać się nie samodyscyplinie, tylko dyscyplinie narzuconej z góry. Jest to podejście do świata w stylu "rób jak ci kaza", a nie próba pomocy dzieciom w zrozumieniu ich miejsca na ziemi.

O co głównie walczą dziś ludy tubylcze?

Potrzebujemy przede wszystkim podstawowych praw człowieka - takich, jak prawo do wolności religijnej. Chodzi o prawo do życia, wolności i dążenia do szczęścia oraz inne rzeczy, które wielu ludzi w Stanach Zjednoczonych uważa za naturalne, a które są poza zasięgiem Indian.

Istnieje także problem praw ziemskich i praw traktatowych. Mamy dobra, którymi nie władamy - a powinniśmy. I mamy dobra, którymi władamy, ale których nie kontrolujemy - a powinniśmy.

Mamy traktaty ze Stanami Zjednoczonymi, które Konstytucja USA określa jako najwyższe prawo tej ziemi. Ale każdy, bez wyjątku, z blisko 400 traktatów zawartych między tubylczymi ludami i rządem federalnym został złamany. Każdy.

Dobrym punktem wyjścia dla Stanów Zjednoczonych byłoby wypełnianie wszystkich traktatowych zobowiązań. Jest to też sposób na rozwiązanie części takich problemów, jak ubóstwo, alkoholizm, bezrobocie i problemy zdrowotne.

Jeśli nie będziemy się zajmować tymi wielkimi sprawami, to nie dojdziemy do ich przejawów. Musimy zająć się kwestią podstawowych praw człowieka, kwestią podstawowych praw traktatowych.

Jeśli nie rozwiążemy tych problemów, to wszyscy ludzie w tym kraju będą nadal wspólnikami w dziele niszczenia nas, India. To oczywiste.

Tłumaczył Marek Nowocien

HISTORIA STWORZENIA

Mam nadzieję, że kiedy będziesz czytał tę historię Stworzenia* w wersji Mohawków, będziesz jednocześnie pamiętał, iż wszystkie ludy na świecie mają historię Stworzenia. Ta właśnie należy do nas. Otrzymaliśmy ją od Stwórcy. Nie jest to plotka z magla czy zasyłszana opowieść, jest ona na wskroś irokeska. Miejscami jest śmieszna i nie do wiary. Jeśli jest zabawna, to śmieć się. Jedyna rzecz, o jaką cię proszę, to abyś zawsze pamiętał, że wszystkie opowieści Stworzenia wszystkich ludów na świecie są równie śmieszne i nie do wiary. Kiedy człowiek się śmieje, to Stwórca jest zadowolony.

Mówi się, że na początku planeta Ziemia była zalana wodą. Nie było żadnego miejsca, gdzie można by znaleźć choć trochę gruntu. Nie było żadnych ludzkich istot ani zwierząt. Życie jednak istniało, ale było to tylko to zwierzęta i ptaki, które umiały żyć w środowisku wodnym.

Mówi się, że gdzieś w słonecznym systemie wszechświata znajdowała się inna planeta czy też świat, na którym żyli ludzie. Nazywał się Karoniake (miejsce na niebie). W tym świecie znajdowało się wiele ogromnych pól poziomkowych. Ludzie żyli w wioskach. Ich domy zbudowane były z kory drzew. Mówi się, że na Karoniake nie wschodziło słońce. W środku wioski rosło specjalne drzewo, które nazywało się Drzewem Życia. Na jego gałęziach wisiały wszelkie owoce, jakie można było sobie wyobrazić. Drzewo to było tak potężne, że promieniowało i dawało światło; było to jedyne światło spełniające rolę słońca na tej planecie. Na Karoniake zawsze było jak o świecie lub o zroku. Nigdy nie było tam ani bardzo jasno, ani

zbyt ciemno. Drzewo dawało życie całej Karoniake. Dawało jej moc i energię.

Ludzie, którzy zamieszkiwali Karoniake, byli przekonani, że nikt nie odważy się skrzywdzić czy okaleczyć Drzewa Życia. Wszyscy wiedzieli, że nikt nie zerwie owocu z tego drzewa. Ludzie mogli jeść owoce z tego drzewa, ale musieli poczekać aż dojrzeją i same spadną na ziemię. Tylko wtedy można je było zbierać i jeść.

Ludzie z Karoniake byli bardzo podobni do tych, jakich znamy obecnie, a jednocześnie byli inni, gdyż odznaczali się większą siłą duchową i fizyczną niż my. Wydaje się, że rozwinęli w wysokim stopniu to, co naukowcy nazywają dziś postrzeganiem pozazmysłowym (Extrasensory Perception). Na przykład, gdybyśmy chcieli gdzieś pójść, moglibyśmy użyć swoich myśli: w ten sposób moje "ja" opuściłoby ciało i udało się tam, gdzie chcę akurat pójść. Gdybym potrzebował ołówka, który leży na drugim końcu pokoju, wszystko co musiałbym zrobić, to tylko pomyśleć o nim, a wtedy ołówek sam ruszyłby w moją stronę. Starzy ludzie mówili, że ta zdolność była czymś normalnym dla ludzi z Karoniake. Słuchając mej opowieści Stworzenia, powinniście pamiętać jak wyglądali ludzie z Karoniake. Mówi się nawet, że ci ludzie nie musieli rozmawiać ze sobą, jak my dzisiaj. Oni mogli przesyłać wiadomości czy porozumiewać się po prostu drogą myśli.

Karoniake zamieszkiwało wielu ludzi. Żyła tam pewna kobieta i mężczyzna, którzy mieszkali razem, byli pewnie mężem i żoną. Żona w końcu zaszła w ciążę, a kiedy kobieta spodziewa się dziecka, często miewa humory i różne zachcianki. Jedną z takich jej największych zachcianek było pragnienie. Kobieta bardzo chciała napić się dobrej herbaty. Poprosiła swego męża, aby nazbierał trochę najdelikatniejszej kory z korzeni Drzewa Życia, jakie rosło w środku wioski. Mąż pamiętał o zakazach związanych z drzewem, więc bardzo niechętnie odniósł się do życzenia żony. Ta jednak wpadła we wściekłość, że

on nie chce spełnić jej życzenia i kazała mu zaraz iść po korę z korzeni świętego Drzewa Życia. Mężczyzna przestraszył się swej krzyczącej żony i czym prędzej wyszedł. Ledwie wbił łopatę u podnóża świętego Drzewa, kiedy ziemia zaczęła się osypać w dół, jak piasek w klepsydrze.

Gdy mąż zobaczył to niezwykle zjawisko, podskoczył z wrażenia, a potem zauważył wielką dziurę mającą dwadzieścia pięć centymetrów średnicy. Wyglądała jakby nie miała dna. Mąż nie spełnił więc prośby żony i wrócił bez niczego. Ona natychmiast zapytała go, gdzie na korę z korzeni. Mężczyzna powiedział swej żonie, że ziemia u podnóża świętego Drzewa zaczęła się zapadać, kiedy kopał, a dziura była tak głęboka, że nie było widać dna. Powiedział, że przestraszył się i dlatego zrezygnował z kopania dalej.

Żona była bardzo zła i zawiedziona. "Powinna była wiedzieć, że nie można posłać słabego i leniwego głupca, aby zrobić coś za mnie – powiedziała. – Pójdę i sama przygotuję sobie herbatę i pokażę ci, jak to się robi."

Żona ruszyła w kierunku centrum wioski, gdyż nie wierzyła w ani jedno słowo swego męża. Kiedy zbliżyła się do świętego Drzewa, zdumiała się widząc, że jej mąż mówił jednak prawdę. Jak zwykle ciekawsza zaczęła oglądać dziurę. To było rzeczywiście coś! Przykucnęła więc i przechyliła się aby ją lepiej obejrzeć, ale i to jej nie wystarczyło. Wsunęła więc głowę do dziury i zobaczyła wielką próżnię. Ujrzała głęboką dziurę, której dno wydawało się czarno-zielono-niebieskie. "Co to może być?" – zastanawiała się. Kobieta była tak zajęta tym otworem w ziemi, że nawet nie zauważyła, iż ziemia ciągle się jeszcze osuwa. Dopiero gdy sama zaczęła spadać w dół, zdała sobie sprawę z tego, co się z nią dzieje. Próbowала rozpaczliwie temu zaradzić i chwyciła się czego tylko mogła, ale jedyną rzeczą, którą zdołała uchwycić było parę nasion poziomki i innych roślin, jakie spały z Drzewa Życia.

Trzymając mocno w rękach te różnorakie nasiona, kobieta spadała w głąb dziury na niebie świata, w niekończącą się atmosferę, w stronę Ziemi, która była całkowicie zalana wodą.

W tym miejscu opowieści muszę nadmienić, że niektórzy starzy ludzie powiadają, iż to jej mąż popchnął ją do dziury, inni zaś twierdzą, że to ona

sama wpadła.

Tak czy inaczej, gdy kobieta spadała głową w dół ku Ziemi, pojawiło się duże stado niebieskich czapli kojących się w powietrzu. Kiedy czaple spojrzały w górę, zobaczyły dziwnie wyglądającą postać spadającą z nieba. Czaple zaciekawiły się i postanowiły obejrzeć z bliska tę kobietę z nieba. Zauważyły, że kobieta nie miała błon między palcami rąk i nóg. Ptaki zdały sobie sprawę, że ta kobieta nie pochodzi z ich świata i niechybnie utonie w wodzie. Zebrały się szybko, aby zdecydować co można zrobić, żeby jej pomóc. Ptaki zorganizowały się i złoczyły swe skrzydła wszystkie razem, aby kobieta z nieba mogła delikatnie upaść na ich grzbiety. Tak też się stało, ale zaraz powstał kolejny problem – co zrobić z tą kobietą?

Czaple próbowały zanieść ją z powrotem do niebiańskiego świata, ale wkrótce osłabły i było jasne, że nie zdołają już wzbić się wyżej. Jedyne ratunkiem było zejście w dół ku wielkim wodom Ziemi. Czaple zdecydowały, że jedna z nich polecą na Ziemię poszukać pomocy u innych stworzeń wielkiego morza.

Kiedy owa czapla dotarła nad morze, zaczęła głośno wołać wszystko, co żyje w morzu. Wszystkie stworzenia zebrały się, aby wysłuchać czapli, która opowiedziała im o kobiecie z nieba, o tym, że nie zdoła ona przetrwać na wielkim morzu. Na koniec opowieści czapla poprosiła o jakieś pomysły, dzięki którym morskie stworzenia mogłyby pomóc i uratować życie kobiecie z nieba.

Wielki żółw zaproponował, że będzie pływał na powierzchni wody, a kobietę z nieba umieści się na jego grzbiecie. Tak też postanowiono. Kobietę bezpiecznie złożono na grzbiecie żółwia i wszystkie stworzenia morza zaczęły z troską się jej przyglądać.

Kobieta z nieba zauważyła nasiona z Karoniake w swej zaciśniętej pięści, ale potrzebowały one ziemi aby móc wyrosnąć. Nasiona mogłyby dać jej pożywienie.

Istoty morza były oczywiście bardzo chętne do pomocy; odbyły naradę, na której bóbr powiedział: – Nie byłem na dnie morza, ale pamiętam, że dziadek mówił, iż da się tam znaleźć trochę gleby. Jestem wielkim pływakiem i mój ogon zawiezie mnie na dno morza.

Bóbr skoczył więc z grzbieta żółwia do wody. Nie było go strasznie długo.

* Historię tę opowiedział Tom Porter Sakowenonkwass, obecnie tradycyjny przywódca Mohawków w rezerwacie Akwesasne. Przedrukujemy ją za: Akwesasne Notes Vol.21. No.2, Wiosna 1939.

Wszystkie stworzenia oczekiwały w wielkiej niepewności. Po długim czasie ciało bobra wystrzeliło z wody jak balon wypełniony powietrzem. Jego zwłoki leżały kompletnie nieruchomo na wodzie. Inne zwierzęta wskoczyły do wody aby go odratować, ułożyły jego lodowate ciało na grzbiecie żółwia, ale bóbr nie oddychał, utopił się i nie udało mu się zdobyć ziemi z dna wielkiego morza. Odbłyło się zatem następne spotkanie i tym razem wydra powiedziała: – Jestem bardzo szybkim pływakiem, mam smukłe i zwinne ciało, powinno mi się udać.

Wydra z pluskiem zanurkowała do morza. Wszystkie zwierzęta czekały i czekały. Wydry nie było dłużej niż bobra. Nagle ciało wydry wynurzyło się z wody, ono także było lodowate i bezwładne. Po przeniesieniu ciała na skorupę żółwia i zbadaniu okazało się, że wydra była martwa.

I znowu morskie zwierzęta odbyły naradę. Piźmoszczur, najmniejszy ze wszystkich stworzeń powiedział skromnie: – Nie wiem czy uda mi się przynieść ziemię z dna morza, nie jestem zbyt silny i w zasadzie nie jestem też wielkim pływakiem, ale jeśli nie spróbuję to kobieta z nieba nie przeżyje. Podejmę się więc tej próby.

I piźmoszczur zanurkował. Nie było go bardzo długo, znacznie dłużej niż bobra i wydry. Wszyscy sądzili, że piźmoszczur też utonął. Wtedy właśnie usłyszeli plusk wody i z morza wypłynęło nieruchome ciało małego piźmoszczura. Zwierzęta wciągnęły jego zwłoki na grzbiet żółwia i zaczęły go dokładnie badać. Całe jego ciało było lodowato zimne. – Zaczekajcie – powiedziało któreś ze zwierząt – tu na piersi jest jedno ciepłe miejsce.

Morskie zwierzęta nadusiły więc brzuch piźmoszczura i trysnęła woda. Naciskali brzuch i wypompowywali wodę tak długo, aż mały piźmoszczur otworzył oczy ku zadowoleniu wszystkiego, co żywe. Piźmoszczur otworzył też swoje małe czarne łapki, w których znajdowała się odrobina ziemi z dna morza. W pyszczku piźmoszczura, między zębami, było jeszcze więcej ziemi. Piźmoszczur był i nadal jest wielkim zwierzęciem.

Piźmoszczur dał ziemię kobiecie z nieba, która położyła ją na samym środku żółwiowej skorupy. W tym momencie muszę was prosić, abyście zastano-

wili się chwilę nad cudem urodzin. Na przykład, weźcie jedno ziarno kukurydzy i zasadźcie je. Polewajcie ziemię wodą i czekajcie około tygodnia. Po tym terminie zobaczycie zielone listki wyrastające z małego nasionka. Czekajcie następne trzy miesiące i to małe nasiono kukurydzy wypuści roślinę wysoką na blisko dwa metry, o dużych zielonych liściach. Gdzie i w jaki sposób to małe nasionko ulega takiej przemianie? Cóż... to właśnie nazywa się cudem narodzin. Nasz Stwórca sprawił, aby tak właśnie było.

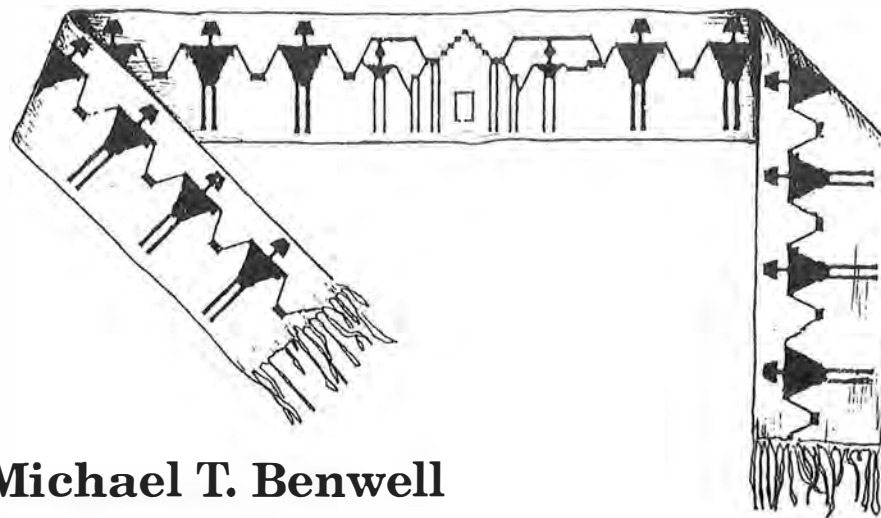
Kobieta z nieba położyła ziarenka ziemi z dna wielkiego morza na skorupie żółwia i zaczęła tańczyć dookoła niej, śpiewając w języku ludzi z Karoniaka. Poruszała się w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Wtedy właśnie stał się cud narodzin. Ziarna ziemi zaczynają się nieustannie mnożyć, podczas gdy kobieta z nieba śpiewa i tańczy dookoła skorupy żółwia, która także zaczyna się powiększać. Ziemi jest już całkiem sporo i ciągle jej przybywa. Kobieta może teraz posiać nasiona z Drzewa Życia, teraz będzie miała pożywienie. Ziemia na skorupie żółwia jest bardzo żyzna.

Czas mija, a ciąża kobiety jest już mocno zaawansowana. Zbliża się czas dania życia dziecku. Ziemia jest już bardzo rozległa, a kobieta powija zdrową dziewczynkę.

Czas mija nieustannie i z dziecka wyrasta młoda dziewczyna. Kobieta z nieba i jej córka są, jak dotąd, jedynymi istotami ludzkimi na ziemi. Zaprzyjaźniły się ze wszystkimi zwierzętami i ptakami. Mówi się, że kobieta z nieba i jej córka bez trudu porozumiewały się ze wszystkimi zwierzętami.

Musimy pamiętać, że w tamtym czasie świat na ziemi nigdy nie był jasny, zawsze panował półmrok. Młoda dziewczyna wyrosła na dojrzałą kobietę, a ta kobieta z nieba wciąż jeszcze śpiewa i tańczy wokół żółwia. Ziemia była miejscami płaska, a miejscami pagórkowata, powiększyła się tak bardzo, że nie można już było zobaczyć jej brzegów, ale ciągle była jeszcze otoczona wodą. To właśnie dlatego tubylcy dzisiejszej Ameryki Północnej nazywają świat Wyspą Żółwia.

Przełożyła Anna Domińska



Michael T. Benwell

WIELKIE PRAWO POKOJU

WIELKIE PRAWO POKOJU – KAIANEREKOMA zostało ustanowione między ludźmi PIĘCIU NARODÓW co najmniej pięćset lat temu. Zostało przyniesione naszym ludziom przez posłańca, którego wysłał WIELKI STWORZYTEL. Imię tego posłańca brzmiało TEKANAWITA i czasami tłumaczy się je jako CZYNIĄCY POKÓJ. W czasie, gdy Czyniący Pokój po raz pierwszy przybył do każdego z ludów tych Pięciu Narodów, nie były one jeszcze zjednoczone i powszechnie uważano je za najbardziej zawzięte, wojownicze i barbarzyńskie. W owym czasie bały się ich wszystkie sąsiednie ludy, bo nawet w obrębie tych Pięciu Narodów nieustannie dochodziło do wzajemnych wojen. Każdy z tych pięciu narodów stanowił wtedy niepodległą i niezależną całość. Wprowadzenie i ewentualne przyjęcie Wielkiego Prawa przez każdy z tych narodów zaowocowało pokojowym zjednoczeniem się i współistnieniem tych Pięciu Narodów. Zjednoczyły się one w myśl Wielkiego Prawa Pokoju. Choć od tamtego czasu zjednoczone jako znana do dziś Konfederacja Pięciu Narodów Irokeskich (Mohawk, Oneida, Onondaga, Seneca i Cayuga), choć łączą one to jedno prawo, które jest

Konstytucją, to wciąż zachowywały one indywidualny status narodowy, z tym jednak, że od tamtych indywidualnych Rad Narodów wzorowały się na drogach wskazanych w Konstytucji – KAIANEREKOMA.

Pierwotnie ludzie z każdego z pięciu narodów mieszkali w Długich Domach, a odkąd się zjednoczyli, zaczęli siebie nazywać Ludźmi Długiego Domu, czyli KANONSONNIONWE u Mohawków, a w języku Seneków – NOTINONSHIONI. Zjednoczenie się Pięciu Narodów jako Ludzie Długiego Domu, pociągnęło za sobą także połączenie ziem każdego z narodów, dzięki czemu powstało jedno wielkie terytorium. Ze względu na położenie geograficzne, naród Mohawków znajdujący się najbardziej na wschód znany jest jako Drzwi Wschodnie symbolicznego Długiego Domu. Naród Seneków, zamieszkujący teren położony najbardziej na zachód określany jest mianem Zachodnich Drzwi tego symbolicznego Długiego Domu. Naród Onondagów, położony centralnie, stał się stolicą czyli sercem Długiego Domu. Te trzy narody są większe od pozostałych. Narody Oneidów i Kajugów były mniejsze i ich ziemie leżały pomiędzy terenami tych większych narodów. Mohawki,

przechowywanie w pamięci sposobu odczytywania takich Pasów Wampumu, będących naszą starą formą zapisu. U schyłku ubiegłego wieku Wodzowie i inni ludzie posiadający wiedzę, którzy potrafili odczytać te Pasy, byli zaniepokojeni wielką liczbą naszych ludzi opuszczających drogi Długiego Domu, skutkiem czego zapominali i tracili indiańskie języki, a zamiast tego mówili po angielsku i chodzili do kościołów białych ludzi. Starzy Wodzowie postanowili więc zachować mądrość Wielkiego Prawa Pokoju dla przyszłych pokoleń, które się jeszcze nie pojawiły; postanowili wyrecytować to, co oznaczały Pasy Wampumu, spróbować przetłumaczyć możliwe najwięcej na język angielski i zapisać. Postanowili to zrobić także dlatego, że byli jedynymi żyjącymi ludźmi, którzy naprawdę to wiedzą i rozumieją; teraz się starzeją i nie ma prawie młodych, którzy mogliby się tego nauczyć i pojąć jak dawniej. Wodzowie pracowali nad tym blisko dwadzieścia lat razem z kilkoma Indianami, którzy biegle znali swój język i równie biegle język angielski.

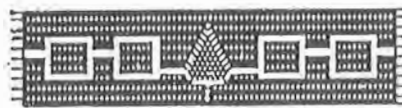


Pas Tuskarorów

Indianie, którzy pracowali z Wodzami, byli wykształceni w szkołach białych ludzi i wiedzą dorównywali prawnikom białego świata. Oni właśnie pracowali nad możliwie jak najwierniejszym przetłumaczeniem Wielkiego Prawa na język angielski. Dzięki nim mamy dziś dostęp do pewnej części Wielkiego Prawa Pokoju, w formie pisanej po angielsku. Nie stanowi to bynajmniej całości, gdyby bowiem chciał zapisać każdy paragraf Wielkiego Prawa, to zużyty papier można by kilka razy owinąć dookoła świata, ale jeszcze nie byłoby pewności, że to całość. Porównanie to pokazuje jak bogate i obszerne jest nasze Wielkie Prawo Pokoju. Fragmenty dostępne na piśmie i tak już umożliwiają zrozumienie Wielkiego Prawa i jego praktyczne zastosowanie, nawet w obecnych, nowoczesnych czasach.

Historia powstania Konfederacji Irokeskiej i wprowadzenie Wielkiego Prawa wśród naszych ludzi przez Tekanawitę, sama w sobie również stanowi jego część. Gdy wszystkie Pięć Narodów ostatecznie przyjęły Wielkie Prawo Pokoju, utworzono poszczególne tytuły wodzowskie, a ich nazwy zostały wyrecytowane i utrwalone w stałej kronice składającej się z Pasów Wampumu i Sznurków. To kolejna część Wielkiego Prawa. Po dokonaniu tego, Czyniący Pokój i wszyscy nowo ustanowieni Wodzowie nowej Konfederacji uchwalili szczegółowe artykuły nowej Konstytucji, co ponownie zostało utrwalone na Pasach Wampumu i Sznurkach. Obowiązujące Wielkie Prawo Pokoju oparte jest na zasadach Pokoju-Sprawiedliwości-Siły. Wielkie Prawo zostało najpierw przedstawione naszym ludziom (Mohawkom), aby mogli nauczyć się jak wojny i potyczki zastąpić dyplomacją, rozmową, argumentami itp. Celem dalszym było rozszerzenie Wielkiego Prawa na wszystkie narody świata, aby zapanowały na nim Pokój i Dobra Myśl. Konfederacja Pięciu Narodów Irokeskich przyczylna się pośrednio i bezpośrednio do wprowadzenia na świecie pojęć takich jak: wolność, sprawiedliwość i demokracja. Konfederacja Irokeska była odpowiedzialna też za zainspirowanie Europejczyków przybyłych na ten kontynent do utworzenia Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, które pod wieloma względami oparte zostały na naszym systemie politycznym. Inne narody świata powieliły z kolei wzór Stanów Zjednoczonych i w ten sposób powstała demokracja i demokratyczny system rządów. To nasi wodzowie i mówcy nauczyli białych ludzi wszystkiego o naszym systemie politycznym. Tacy ludzie, jak Jerzy Waszyngton, Benjamin Franklin, Tomasz Jefferson i in. w wielkim stopniu ulegli wpływom i nauczaniu naszych ludzi z Konfederacji. W rzeczywistości, dopiero teraz przyznano, że Konstytucja Stanów Zjednoczonych wzorowana jest na starej Konstytucji Pięciu Narodów Irokeskich. Nie-Indianie przyjęli zaledwie część z tego, co mieliśmy. Biali ludzie włączyli do swego systemu to, co można nazwać "dziurami w węzłach". Pozwoliło to, jak się wydaje, uprawomocnić pewien stopień nieuczciwości w tym systemie. W naszym oryginalnym Wielkim Prawie Pokoju i wszystkim, co się z nim

wiąże, nie istnieją takie "dziury w węzłach". Nie dopuszcza się żadnych złych działań.



Pas Zjednoczenia Pięciu Narodów

Społeczność irokeska jest, w myśl Wilkiego Prawa, matriarchalna i wywodzi ród od matki. Oznacza to, że prawdziwa siła polityczna pozostaje w rękach kobiet Pięciu Narodów, gdyż one są tymi, które decydują i wybierają mężczyzn na wodzów Konfederacji każdego z poszczególnych narodów. Kobiety mogą również usunąć wodza, jeśli ten nie postępuje według Wielkiego Prawa. Wszystkie tytuły wodzów Konfederacji Irokeskiej należą w istocie do kobiet. Wywodenie rodu od matki oznacza z kolei, że każda osoba, bez względu na płeć - dziedziczy swe pochodzenie i obywatelstwo po linii żeńskiej; innymi słowy: każdy dziedziczy po matce, a nie po ojcu. Na przykład jeśli mężczyzna Mohawk miał poślubić kobietę Oneida, to dzieci będą Oneidami, gdyż ich matka jest kobietą Oneida.



Wampum z Dwoma Pasami

Wśród ludzi Pięciu Narodów funkcjonuje także system klanów. Klan składa się z wielu rodzin i również wywodzi się od matki, bez względu na płeć. Klan jest w istocie symbolem obywatelstwa, o czym była już mowa. Na przykład, u Mohawków istnieją trzy klany: Klan Wilka, Klan Niedźwiedzia i Klan Żółwia. W każdym z Pięciu Narodów istnieją klany. Każdy klan posiada tytuły wodzów, które należą wyłącznie do niego w danym narodzie. Według Wielkiego Prawa, mężczyźni i kobiety, pochodzącym z tego samego klanu, nie wolno zawierać

małżeństwa. Pobierać się mogą jedynie pary pochodzące z różnych klanów. Niektóre narody Konfederacji posiadają więcej niż trzy klany, jak Mohawowie. Klany Wilka, Żółwia i Niedźwiedzia występują w każdym narodzie. Ludzie z tego samego klanu, choć z różnych narodów, uważani są za bliskich krewnych, jak bracia i siostry i dlatego zabrania im się zawierania małżeństwa między sobą. Mechanizm ten został celowo wbudowany w Wielkie Prawo, aby zapobiec kaziroduztwu. Współcześnie, w naszym stuleciu, większość ludzi została zchrystianizowana i zerwała z systemem klanów, czego skutkiem jest to, że czasem ludzie zawierają małżeństwa, należąc do tego samego klanu.



Pas Drzewo Pokoju

Każdy naród Konfederacji posiada to, co obecnie nazywa się Radą Narodową, która zgłasza wnioski na wyższym szczeblu narodu. Kiedy wszystkie Pięć Narodów zbiera się wspólnie na jedną Radę, nazywamy to Wielką Radą lub Radą Konfederacji i zwykle dzieje się to na terytorium narodu Onondaga. Wielka Rada Konfederacji zgłasza wnioski, które dotyczą Konfederacji jako całości. Na tę Radę przybywają wszyscy wodzowie Konfederacji lub tyłu z każdego narodu, ilu może. Jednak żadne istotne decyzje dla całej Konfederacji nie mogą zapaść bez obecności wszystkich dziewięciu wodzów Mohawków. Ogólnie Konfederacja liczy pięćdziesięciu wodzów. Porządek siedzenia i prowadzenia narady jest następujący: wodzowie narodu Mohawk i Seneca siedzą razem po jednej stronie Długiego Domu (Starsi Bracia Konfederacji), a po drugiej stronie siedzą, twarzą do Mohawków i Seneków wodzowie narodu Oneida i Cayuga (Młodzi Bracia Konfederacji). Wodzowie narodu Onondaga siedzą natomiast w centralnym miejscu, pomiędzy dwiema stronami domu. Wszystkie wnioski, jakie mają być rozpatrzone przez Wielką Radę wysuwają Mohawowie i Senekowie, i przekazują je na Og-

Onondagowie i Senekowie zwani są także starszymi braćmi Konfederacji, zaś Oneidowie i Kajugowie – braćmi młodszymi. Powodem takiego podziału jest fakt, że te trzy narody jako pierwsze przyjęły Wielkie Prawo Pokoju, gdy przybył do nich Czyniący Pokój. Wśród tych trzech starszych braci, pierwszym, który przyjął Wielkie Prawo, był naród Mohawków.

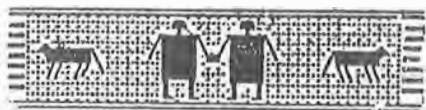


Pas Tadodaho

Konfederacja Irokezów została zawiązana i działała na długo przed przybyciem białego człowieka na ten kontynent. Gdy pojawili się Europejczycy, musieli postępować z Konfederacją jak równy z równym, jak naród z narodem lub jak jedna suwerenna władza z drugą. Nasi ludzie mieli do czynienia z Duńczykami, Szwedami, Francuzami i Brytyjczykami. Później musieliśmy się stykać z Brytyjczykami, którzy stali się Amerykanami, a także z Brytyjczykami i Francuzami, których znamy jako Kanadyjczyków. W czasie pierwszego kontaktu Europejczyków z naszymi ludźmi, byliśmy zbyt silni i Europejczykom to się naprawdę nie podobało. Musieli w jakiś sposób spróbować nas pokonać. Wprowadzili więc chrześcijaństwo. Począwszy od końca XVI wieku Francja zaczęła przysyłać do Irokezów jezuitów misjonarzy. Byliśmy przecież uważani za pogańskich dzikusów według kryteriów chrześcijaństwa. Chociaż skutki jego wprowadzenia nie miały wśród naszych ludzi z początku większego znaczenia, to na dalszą metę były rzeczywiście coraz bardziej szkodliwe dla każdego kolejnego pokolenia naszych ludzi. Ich szkodliwość polegała na tym, że nauki tej obcej doktryny religijnej zniechęcały naszych ludzi do kontynuacji swych własnych dróg duchowych, darych nam przez Wielkiego Stworzyciela na początku naszego Stworzenia; a dążeniem Kościoła było zastąpienie naszych pierwotnych dróg duchowych nauką chrześcijańską. Tak więc, z każdym kolejnym pokoleniem ros-

ła liczba osób przyjmujących chrześcijaństwo, co pociągało za sobą także zmianę sposobu myślenia, podobnego do białych, i prowadziło w efekcie do pogardzania czy wręcz porzucania własnych starych dróg indiańskich Długoiego Domu Konfederacji Pięciu Narodów Irokeskich. W końcu większość ludzi Pięciu Narodów porzuciła własne tradycyjne drogi i została chrześcijanami, którymi są do dziś.

Drugim istotnym czynnikiem, który działał w połączeniu z nauczaniem obcej religii, był narzucony siłą system lokalnych rad samorządowych wzorowany na administracji państwowej, myśli tzw. Aktu Indian Kanadyjskich, natomiast w USA – narzucenie podobnego systemu, znanego powszechnie i określanego mianem Rady Plemiennej, wzorowanej na administracji amerykańskiej. Te dwa obce systemy, narzucone naszym ludziom, miały zastąpić nasz własny tradycyjny system samorządności. Rząd Kanady do 1890 r. uznawał oficjalnie system rządów Konfederacji Irokeskiej w rezerwach KAHIAWAKE, AKWESASNE, DESERONTO i KAHESATAKE, a do roku 1924 w rezerwacie Sześciu Narodów w Ontario. Odtąd przez szereg lat, większość ludzi we wszystkich społecznościach irokeskich czy rezerwach udzielała poparcia obcemu systemowi Rady Zrzeszeń i Rady Plemiennej. Tradycjonalistów było coraz mniej. Z tego powodu tradycyjne Rady Konfederacji Irokeskiej nie otrzymują dziś żadnych funduszy od rządu. Jedynie Rady Zrzeszeń w Kanadzie i Rady Plemienne w USA otrzymują fundusze. Mimo to tradycyjne Rady Pięciu Narodów Konfederacji Irokeskiej wciąż istnieją i działają, bez względu na to, czy są oficjalnie uznawane przez obce rządy, czy nie.



Pas Klanu Wilka Mohawków

Konstytucja – KAHIANAREKOWA Pięciu Narodów Konfederacji Irokeskiej zawiera się na PASACH WAPUŁU. Starym i tradycyjnym zajęciem pewnych ludzi było

niskiem Wielkiej Rady do rozważenia Oneidom i Kajugom. Gdy wodzowie Oneidów i Kajugów przemyśleli i przedyskutowali wniosek między sobą, przekazują swą odpowiedź z powrotem nad Ogniskiem Rady wodzom Mohawków i Seneków. Jeśli ci wodzowie zgadzają się z ich odpowiedzią, przekazują wtedy wniosek nad Ogniskiem Rady do wodzów narodu Onondaga, aby ci przemyśleli go i przedyskutowali. Jeśli wodzowie Onondagów zgadzają się we wszystkim, przekazują wtedy swą odpowiedź nad Ogniskiem Rady Mohawkom i Senekom, którzy wówczas ogłaszają, że od tego dnia wniosek ten obowiązuje jako prawo. Rola wodzów narodu Onondaga polega głównie na obserwacji i uważnym słuchaniu dyskusji, która toczy się w trakcie tej procedury między Mohawkami-Senekami a Oneidami-Kajugami. W przypadku różnicy zdań, Mohawkowie i Senekowie po własnych debatach nad wnioskiem lub odpowiedzią, jaką otrzymali od Oneidów i Kajugów, przesyłają swą odpowiedź wodzom Oneida i Kajuga, którzy muszą wtedy ponownie rozpatrzyć wniosek i znaleźć lepsze rozwiązanie. Następnie przekazują swą odpowiedź z powrotem do wodzów Mohawków i Seneków. Jeśli ci uważają ją za dobrą i ostatecznie akceptują – przekazują ją Onondagom; jeśli z kolei Onondagowie nie zgadzają się z ich odpowiedzią, po przedyskutowaniu jej między sobą odrzucają wniosek i odsyłają go z powrotem do Mohawków i Seneków, którzy ponownie dyskutują i rozważają wniosek, a gdy znajdą lepsze rozwiązanie, znów przekazują go nad Ogniskiem Rady Oneidom i Kajugom. Tak oto proces ten trwa dopóki nie osiągnie się zgody wszystkich stron.

Przy każdym wodzu Konfederacji znajduje się kobieta, która na go obserwować i przestrzegać, aby zawsze stosował się do Wielkiego Prawa. Takie kobiety zwane są "Matkami Klanowymi" i głównie one są odpowiedzialne za wybór nowego kandydata, aby zastąpił wodza usuniętego za popełnianie błędów lub tego, który umiera. Matki Klanowe radzą się innych kobiet swego klanu odnośnie wyboru nowego mężczyzny mającego zostać wodzem. Najpierw wysuwa się kandydaturę, dyskutuje się ją, a potem inną kandydatką podaje się mężczyznom tego klanu, którzy albo zgadzają się z wyborem kobiety, albo nie; muszą wtedy podać war-

kie powody odmowy, a następnie zaproponować inną inną i przekazać ją kobietom klanu do przemyślenia. Wszystko to dzieje się w ramach "spotkania" lub "rady klanu", gdyż zgodnie z Wielkim Prawem, każdy klan posiada swe własne ognisko rady, które pali się nieustannie, co oznacza, że spotkania lub rady tego klanu mogą się zawsze odbywać, w dowolnej chwili, gdy zachodzi taka potrzeba. Obok wyboru wodzów, każdy klan zajmuje się niezależnie innymi zagadnieniami. Funkcjonuje także inny rodzaj rady, do której potrzebni są wszyscy ludzie. Nazywa się to Radą Ludu. Wszelkie decyzje dotyczące spraw całego narodu pochodzące z takiego spotkania muszą być jednak przekazane wodzom Wilków (do tzw. Studni), którzy umieszczają sprawę w programie najbliższej Rady Wodzów. Jeśli wodzowie stwierdzą, że poszczególne sprawy nie zostały właściwie rozstrzygnięte albo są niezgodne z Wielkim Prawem, to mogą je odrzucić. Porządek spotkań lub rad klanu jest taki sam jak podczas Rady Wodzów.

Jeśli na przykład, klan Wilka ma spotkanie i we własnym kręgu podejmuje decyzję w pewnej sprawie, to przedstawia ją później klanowi Niedźwiedzia, który zwołuje w tej sprawie własne spotkanie. Kiedy zakończą już rozważanie sprawy, przekazują swą decyzję i odpowiedź klanowi Wilka, którzy znów postąpią w ten sam sposób, jak poprzednio, przekazując teraz decyzję ludzom klanu Żółwia, którzy również zwołują swe własne klanowe spotkanie, a gdy je zakończą, przekazują odpowiedź klanowi Wilka. Wtedy wszystkie klanowe spotkania dobiegają końca i sprawę umieszcza się w "Studni", aby wodzowie klanu Wilka wpisali ją w porządek dzienny najbliższej Rady Wodzów. Sprawa zostanie prawdopodobnie rozstrzygnięta przez Radę i od tego momentu stanie się obowiązującym prawem.

Cała ta procedura pochłania sporo czasu, ale jest to mechanizm pozwalający każdemu współdecydować w danej sprawie. W ten sposób wszyscy ludzie przedstawiają swój punkt widzenia, a pokój i jedność to walecznie niektóre z osiągniętych korzyści, tak samo jak zapewnienie wszystkim sprawiedliwości i bezstronności.

Michael T. Fenwell
Tłum. Małgorzata Szparadowska

MICHAEL T. BENWELL

INDIAŃSKI KORESPONDENT

Od ponad dwóch lat dość popularną, choć zarazem nieco anonimową postacią, niesłychanie wspierającą Ruch Indiański w Polsce poprzez informowanie o bieżących wydarzeniach i dostarczanie niedostępnych dla nas tekstów, dotyczących Indian amerykańskich, jest MICHAEL T. BENWELL, członek Narodu Mohawków.* To on przesyłał nam dosłownie kilogramy artykułów prasowych o zbrojnym wystąpieniu Mohawków w 1990 roku. To on też spełnia, możliwie najlepiej, wszelkie nasze prośby i odpowiada na każde pytanie. Od niego mamy też wiele kaset z tradycyjną i współczesną muzyką indiańską oraz kilka wspaniałych książek.

"Zajmuje się głównie przekazywaniem materiałów i informacji o narodzie Irokezów – napisał w liście. – Zwracam się do Ciebie, jako jeden z Tradycyjnych Ludzi Długiego Domu. Moim zadaniem jest przekazywanie ludziom z całego świata prawdziwej i dokładnej wiedzy o naszych społecznościach, na ile tylko mnie stać. Jestem w to bardzo zaangażowany, gdyż nie ma obecnie zbyt wielu Indian przygotowanych do nauczania i przekazywania ważnych, prawdziwych i dokładnych informacji o naszej społeczności. (...) Wyrażam zgodę na publikowanie tego wszystkiego – dodał w innym liście – gdyż jednym z celów udzielania odpowiedzi na Twoje pytania i przekazywania Ci informacji jest to, aby któregoś dnia zostało to wszystko przedstawione Twoim ludziom, zainteresowanym poznawaniem prawdy o naszych narodach."

Mike urodził się 22 czerwca 1953 roku i należy do Klanu Wilka Mohawków. "Jestem – jak to się potocznie mówi – pół-rasowcem (half-breed). Matka jest Indianką z Kahnawake, a ojciec białym, ale rodzice rozwiedli się kilka lat temu. Jestem najstarszy z czwórki rodzeństwa. Mam trzy siostry. Z całej rodziny ja jeden wybrałem tradycyjną drogę Długiego Domu. Wprowadził mnie tam dziadek, gdy miałem pięć-sześć lat. Nie jestem

żonaty, gdyż nie interesowałem się tym jeszcze na poważnie, choć już kilka razy miałem możliwość zawarcia małżeństwa. Wolę jednak cieszyć się stanem wolnym."

Mike należy do kilku leczniczych stowarzyszeń Mohawków: Fałszywej Twarzy, Kukurydzianej Łuski i Obrzędu Gry Łacrosse. Bardzo mocno podkreśla znaczenie tradycjonalizmu wśród Irokezów: "Współczesny tradycjonalista pragnie pielęgnować i przekazywać wartości naszej starej kultury: święte ceremonie, rytuały i zwyczaje, które Wielki Stwórca dał naszym przodkom (...). Dzisiejsi tradycjonaści to ludzie, którzy idą starą indiańską drogą i określają się wspólnym mianem Ludzi Długiego Domu."

Poprosiłem Mike'a o komentarz do paru wydarzeń, znanych u nas powszechnie, choć różnie ocenianych, tak przez polskich indianistów, jak i samych Indian:

O budowie pomnika Szalonego Konia w Black Hills przez naszego rodaka Korczaka Ziółkowskiego (zmarłego w 1982 r.) Mike Benwell powiedział: "Widziałem coś w telewizji, ale słabo to sobie przypominam. Pamiętam, że padła chyba wiadomość, iż niektórzy Indianie są temu przeciwni. Myślę, że chcą oni przede wszystkim, aby Czarne Góry pozostawiono w takim stanie, w jakim są, bez dalszego plugawienia. Czarne Góry były i ciągle są święte. Ten pomnik jest pewno kolejnym krokiem do naruszenia świętości Czarnych Gór, wykorzystywanych przez nie-Indian o wątpliwych intencjach. (...) Czarne Góry były zawsze miejscem, w którym Indianie doznawali wizji, w którym odprawiano dawne, tradycyjne ceremonie, gdyż jest to obszar o szczególnej, duchowej sile. Z drugiej strony, niektórzy Indianie mogą być przeciwni budowie tego pomnika także dlatego, że nie ma żadnej fotografii Szalonego Konia, na której można by się wzorować przy rzeźbieniu twarzy.* Oso- biście w pełni się zgadzam z powyższymi argumentami. Podobą mi się idea wzniesienia pomnika sławnego wodza Indian,

ale nie Szalonego Konia i nie w Czarnych Górach, które powinny zostać w stanie nienaruszonym, na ile jest to jeszcze możliwe, gdyż już dosyć je zdewastowano."

O "indiańskiej świętej" – Kateri Tekakwitha, pochodzącej przecież z Narodu Mohawków, Michael napisał: "My jako ludzie Długiego Domu odrzucają ją z powodu reprezentowania przez nią chrześcijaństwa. Wszyscy ludzie Długiego Domu wszystkich narodów irokeskich zajmują podobne stanowisko i nie czują się z niej dumni. Ludzie Długiego Domu odrzucają drogę Kateri, tak samo jak wszystkie inne obce religie. Kateri Tekakwitha nie odzwierciedla prawdy o naszych ludziach, nie reprezentuje nas, Mohawków ani pozostałych narodów irokeskich, jak również całej Konfederacji. Imię Kateri Tekakwitha to symbol, jakim posługują się biali ludzie, zwłaszcza księża, do celów propagandowych przy nawracaniu Indian na chrześcijaństwo, które stało się przyczyną odchodzenia ludzi ze starej drogi."

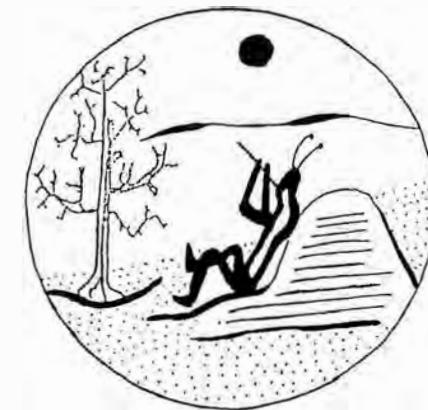
Mike interesująco też próbuje wyjaśnić problem "fałszywych szamanów" i rolę Sun Beara – Słonecznego Wiedźwiedzia: "O ile wiem, Ludzie Długiego Domu nie mają żadnych kontaktów z Sun Bearem, choć kilka lat temu spotkałem się w małym gronie z Sun Bearem, tu w Kahnawake. Poprosiliśmy go o przyjazd i porozmawialiśmy trochę. Mówiąc szczerze, nic nie wiem o tym, by jacyś ludzie Długiego Domu mieli coś przeciwko niemu. Przeczytałem i przeanalizowałem kilka jego publikacji i na tej podstawie mogę jednoznacznie stwierdzić, że nie znajduję w jego naukach niczego niewłaściwego. Choć dość dobrze znam propagandę potępiającą jego działalność, to nie znam jednak wszystkich argumentów i dlatego powstrzymam się z kategorię osądem."

Poza tym Michael lubi muzykę hard-rockową aż po heavy metal. Z ulubionych gatunków filmowych wymienia m.in. science-fiction i horrory. Lubi też piwo, choć od wielu lat – jak mówi – nie pije alkoholu.

Marek Cichomski

Redakcja TAWACINu dziękuje Mike'owi za wszystko, co robi dla Ruchu indiańskiego w Polsce i wyraża nadzieję na dalszą konstruktywną współpracę.

Peter Blue Cloud



Względność

Kojocie,
czy rozumiesz teorię względności?
O tak! Jak najbardziej.

To proste: gdy jestem głodny
zatrzymuję się po prostu u kogoś
i biorę sobie jedzenie.
Tak, to dobrze wiedzieć,
że wszystko jest względne.

Przeł. Marek Maciołek

PETER BLUE CLOUD (ARONIAWENRAT) ur. 1927 w rezerwacie Kahnawake (Quebec), poeta, rzeźbiarz i wydawca. Należy do Klanu Żółwia Mohawków. W młodości pracował jako monter konstrukcji stalowych w "drapaczach chmur". W latach 1975-76 był redaktorem działu poetyckiego "Akwasasne Notes", najpopularniejszego czasopisma indiańskiego. W 1981 r. otrzymał nagrodę National Book Award. Wydał m.in. *Alcatraz Is Not An Island* (1972), *Coyote & Friends* (1975), *Turtle, Bear & Wolf* (1975), *Back Then Tomorrow* (1978), *White Corn Sister* (1979), *Elderberry Flute Song* (1982) i *Sketches In Winter, With Crows* (1984). Publikowane wiersze pochodzą z antologii *Harper's Anthology of 20-th Century Native American Poetry* edited by Duane Niatum, Harper & Row Publishers, Inc. New York 1982.

* Kontakt z Michałem jako pierwszy nawiązał Sat-Okh z Gdańska.

* Patrz TAWACIN nr 2, wiosna '86.

Peter Blue Cloud KRAŁ SEZONÓW

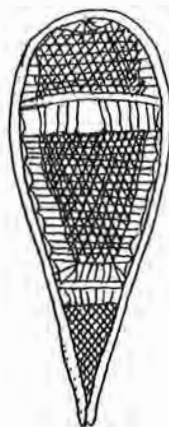
przesilenie zimowe

Gdy ciemność kładzie się
na kocu krystalicznego śniegu
a gwiazdy są jak kłujące refleksje
o przyczynie w umyśle Stworzenia,
otaczamy palenisko, aby
poranek zastał dzieci rozgrzane.

Smakujemy dary minionego lata,
kukurydzę, fasolę i dynię.
Przy zimowym stole czynimy dzięki
i wielbimy Stworzenie cichym śpiewem
a potem i my kładziemy się pod futrami,
żeby śnić obietnicę jutra.

o poranku upojnie rześkim, aż
dzieci korci do głośnej zabawy,
klony wzywają nas podnoszącym się sokiem
i cały naród odpowiada.

Nic tak uroczystego jak
ogniska słodkiego obozu przez całą noc.



zrównanie wiosenne

Dzień i noc równe sobie.
Z ciszy co wydawała się wieczna,
pierwszy huk przedzierającego się
grzmotu znad rzeki. Z uśmiechem
starzec natłuszcza trzonek motyki
i nasłuchuje tego wspaniałego ciepłego wiatru.

Stworzenie to pieśń, mała strużka zamieniona
w bulgot, w śpiewne mlaskanie wody.
Wiatry, które zmusiły śnieg do topnienia
niosą burzowe chmury na ramieniu.

Zielone wyspy pokazują się na grzbiecie żółwia
z traw śpiących długo pod śniegiem.

Świt sezonu pełnego chwały, kwiaty
zlane w płynne fale barw.
Smak poziomek, odgadnięty
w ich kwieciu, mocny i żyzny
zapach gleby, nad którą się pochylamy
wzruszając ziemię pod kukurydzę.



przesilenie letnie

Przyjdźcie, weźcie dzieci. Niech
poczują przez chwilę rytm
motyki. Niech doświadczą
cudu zielonych kielków wystrzeliwujących
z ziemi danej nam
przez Stworzenie w opiekę.

Ciało, umysł i duch bliskie
pęknięcia od dojrzałych słodkich jagód,
pierwszej zielonej fasoli i kukurydzy.
Czynimy dzięki, bez końca. Bliźniacze
pojęcie Przyczyny i Pokoju widać
w każdym ziarnie kolby kukurydzy.

Może naprawimy nasze domy
jak te bobry żyjące w sąsiedztwie.
Dzieci nurkują jak wydry,
ich śmiech dociera do nas,
przyłączamy się do nich na chwilę
w te najgorętsze dni lata.



zrównanie jesienne

Znów dzień i noc równe sobie
i czarny niedźwiedź zaczyna odkładać tłuszcz.
My zaczynamy zbierać dojrzałe plony
do spichrzów na zimę. Nasi starcy
wybierają i starannie przechowują
nasiona do sadzenia na jutro.

Ta święta pieśń rozstania,
sucha kukurydza szeleści na wietrze.
U jej stóp ogromne, pękate dynie.
Nad nami niebo ciemnieje od
wielkiego przelotu ptaków.
Przerywamy by znów złożyć podziękowania.

Drewno ułożone wysoko pod domami,
chodzimy po trzeszczącej, żółkłej,
zmarzniętej trawie. Wieczór woła nas
łagodnie kojącym śpiewem. A niebawem
pierwsze wielkie płatki śniegu
zawołają nas na spoczynek pod zimowym futrem.



Tom Porter

LOVE STORY PO IROKESKU

Moja Babcia była jasnowiedzem. Przychodziła do mnie, gdy miałem siedemnaście-ośmnaście lat, a więc tyle ile trzeba aby kuzyni próbowali zabierać mnie na imprezy przy piwie. Babcia była temu przeciwna.

- Jeśli choć trochę ci na mnie zależy - powiedziała - nie będziesz pił alkoholu.

Oóż, no jasne, że kochałem Babcję i w żaden sposób nie chciałem przynieść jej wstydu. Powiedziałem, że dotąd niewiele piłem i wcale nie mam zamiaru zaczynać. Spojrzała na mnie. Miała taki swój sposób patrzenia, gdy chciała powiedzieć o czymś ważnym.

- Chodź do mnie - powiedziała - jest coś, o czym nieustannie myślisz.

Usiadłem przy jej stole. Chwyciła kubek z resztką zielonej herbaty. - Zaraz się przekonamy, w czym problem - powiedziała - abyś nie wpadł w jeszcze większe tarapaty.

Zajrzała do kubka. Oczy miała szeroko otwarte, jakby widziała w nim coś tajemniczego, co dotyczyło jej przyszłości.

Za każdym razem, gdy Babcia była natchniona, wydawała specjalny okrzyk. Jeśli nie znajdowała natchnienia, to było cicho. Gdy jednak miała natchnienie wołała coś tak: o-waa-aa. Tym razem wiedziałem więc, że było to naprawdę ważne, gdyż trzymała kubek, wpatrując się w jego dno i zawołała: o-waa-aa.

Rzuciła mi to swoje spojrzenie i powiedziała:

- Więc myślisz o znalezieniu sobie kobiety, co?

I znowu zajrzała do kubka. - Oo! - zawołała. - Widzę tu ich całkiem sporo. Kobiety! O nich właśnie myślisz.

Przybrała z troskany wyraz twarzy i spoglądała w kubek.

- Kobiety są różne - zaczęła. - Jeśli wybierzesz złą, będziesz miał problemy. Musisz być ostrożny!

Spoglądała zezowato i ostrykała palcem w kubek. - Popatrz na tę! Śliczna dziewczyna; ładnie wygląda - jak lalka. Ma wdzięczne kształty, kręcone włosy. Taka dziewczyna podejdziesz do ciebie

i otrze się biustem o twoje ramię. A kiedy to zrobi, ojej! Nie będziesz wiedział gdzie i po co tam jesteś, gdyż kobieta ma moc, a zwłaszcza młoda, śliczna kobieta. Możesz jej powiedzieć "cześć", ale nie więcej... bo inaczej będziesz tego żałował. Jeśli potraktujesz tę dziewczynę poważnie i ożenisz się z nią, to przez resztę życia będziesz płakał z jej powodu. Więc uważaj na nią!

Babcia spojrzała znowu w kubek.

- O, jest następna! Ta jest trochę wyższa, z prostymi włosami. Ta będzie ocierać się nogami o twoje nogi i nie będziesz widział nic poza parą jej smukłych nóg. Wygląda na dobrą, ale jest taka tylko przez chwilę. Wkrótce wejdzie ci na głowę i będzie ci wyrwać włosy, a ty będziesz płakał z rozpaczy, jeśli dasz się jej złapać.

Po raz kolejny Babcia zajrzała do kubka. - O, oto następna z niezłymi kształtami, choć trochę przysadzista. Ona naprawdę lubi się śmiać! Będzie trzymać cię za rękę i skokuje cię na całego. Czym prędzej zaciągnij cię do łóżka.

Ale uważaj na nią, to żartownisia. Nie wie, co to znaczy być matką, nie umie gotować ani szyć. Ilie umie nie! Ona jest tancerką, impreza za imprezą, taniec, zabawa i śmiech. Tylko do tego się nadaje, więc nie zwracaj sobie nią głowy.

Babcia po raz ostatni zajrzała do kubka z herbatą i mocno zakreśliła fusa-mi, a potem krzyknęła: O-waa-aa! Oto ona! Jest niewielkiego wzrostu, ma długie czarne włosy. Oo, na też niezłą figurę, jest drobna ale niezła. Stoi sama na drodze i wcale nie ma zamiaru ciebie łapać. Umie wszystko ugotować, nawet prawdziwe indiańskie jedzenie. Umie uszyć ci coś do ubrania dosłownie z niczego, umie zacerować ci skarpetki, lubi też dużo pracować. Nie lubi za to dużo mówić. Ta jest dla ciebie.

Gdzie ona mieszka? - spytałem. - W Snye, w St. Regis, czy na Cornwall Island? A może w Raquette Point?

- Nie, ona nie pochodzi stąd - odpowiedziała Babcia. - Mieszka daleko.

- To pewnie musi być dziewczyną Onondagów. Czy ona jest Onondaga?

- Nie - odparła Babcia - jest starą, wiele słów zachęca. - czekaj na nią! On nie będzie za nią albo za

nią, ani nie na dwa lata. Może za dziesięć lat, ale jeśli umiesz na nią zaczekać, to nigdy w swym małżeństwie nie będziesz płakał. Będziesz szczęśliwy i nigdy nie będziesz się kłócił. Będziesz miał idealne życie z nią, jeśli tylko potrafisz czekać! Gdy zobaczysz tę dziewczynę, będzie szła skrajem drogi. Po tym ją poznasz. Będziesz wiedział, że to ona!

Oóż stało się tak, jak powiedziała. Spotkałem dziewczynę, która śmiała się cały czas; poznałem inną, która kładła mi się na ramię i spotkałem taką, która ocierała się nogami o moje nogi. Poznałem je wszystkie. Ledwie im umknąłem. Trzy razy miałem okazję zawarcia małżeństwa, nigdy do tego nie doszło, choć niewiele brakowało. Głównie z powodu wyznawania przeze mnie religii Długiego Domu, naszej starej religii. Dwie dziewczyny były chrześcijankami. Jedna należała nawet do Długiego Domu, ale nie była tak zaangażowana, jak ja. Nie poślubiłem więc żadnej z nich. Po prostu czekałem.

Mijały lata i myślałem, że pewnie nigdy się nie ożenię. W końcu pojechałem kiedyś z chłopakami do Oklahomy, żeby spotkać się z Czoktawami. Wróciliśmy tamkin domem na kółkach jednego z Czoktawów, gdy mineliśmy dwie dziewczyny idące skrajem drogi. Spojrzały na nasz samochód, a wtedy krzyknęły:

- To moja żona! Tam!

Powinienem to powiedzieć sobie w myślach, ale byłem po prostu tak zaskoczony, że ją widzę. Zaproponowaliśmy im, że je podwieziemy. Były siostrami - Czoktawkami. Były bardzo speszzone, tak samo jak ja. Okazało się, że brat tych dziewczyn miał jechać z nami do Luizjany. Gdy byliśmy gotowi do drogi, dziewczyny rozplakały się. Zrobiłem naszyjnik z koralików i dałem go jej - tej, która miała być moją żoną. Miała na imię Alice. Gdy to zrobiłem, po jej policzku spłynęła wielka ciężka łza.

Gdy dotarliśmy do Luizjany, jej brat, który nie umiał zbyt dobrze pisać, powiedział mi: Tommy, czy możesz mi napisać list do matki, żeby wiedziała, że ze mną wszystko w porządku?

Powiedział, co chciałem abym mu napisał i zrobiłem to. Potem dołączyłem małą karteczkę do jego siostry: "Cześć Alice. Nam nadzieję, że otrzymasz ten list i jest wszystko dobrze". Tylko tyle.

Potem nadszedł list do jej brata i była w nim notka dla mnie od Alice. Brzmiała ona: "Cześć Tom. Dostałem twój list. Wszystko dobrze. Alice". Tylko tyle. Napisałem więc ponownie, tym razem tak: "Cześć Alice. Dostałem twój list i cieszę się, że wszystko dobrze. Ale tym razem chcę wiedzieć, czy wyjdiesz za mnie. Tom."

Po dziesięciu dniach otrzymałem kolejny list. W środku był dziesięciodolarowy banknot. List brzmiał: "Cześć Tom. To pytanie, jakie zadałem mi o ślubie - chciałyby. Najpierw jednak muszę porozmawiać z siostrami i braćmi mej matki i oni muszą się zgodzić. Potem muszę zapytać ojca. Jeśli wszyscy się zgodzą, to poślubię ciebie. Ale jeśli mamy się pobrać, to chcę żeby to było według obrzędu Mohawków, a nie Czoktawów, bo Czoktawowie za dużo piją w czasie ceremonii weselnej, a ty powiedziałeś mi, że Mohawkowie tego nie robią. Póki co, masz dziesięć dolarów. Jeśli znajdziesz jakiś ciekawy materiał na weselny strój Mohawków, to kup. Alice".

No tak, czy wiesz, że my nawet nie trzymaliśmy się za ręce! Nie miałem jednak żadnych wątpliwości, że to właśnie ją zobaczyła w kubku moja Babcia.

Nabyłem więc materiał, piękny granatowy aksamit, i uszyłem jej cały ślubny strój. Cagle jeszcze przechowujemy go w domu. Gdy wróciliśmy do Akwesasne, ukończyłem za dużo ślubny strój i powiedziałem matce. - Tato, znalazłem kobietę, z którą chcę się ożenić. Decyzja należy do ciebie - dodałem. Miałem już dwadzieścia sześć lat.

Według naszego zwyczaju, jeśli matka powie "nie", nie możesz się ożenić. Musisz mieć pozwolenie od matki i - w moim przypadku - także Babcia.

- Tak, jesteś już dosyć stary, sam powinienś wiedzieć - powiedziała moja matka.

Następnie poszedłem do Babcia.

- Babciu, w końcu znalazłem tę kobietę - stwierdziłem. - Naprawdę, masz na myśli tę prawdziwą Indiankę? - spytała z niedowierzaniem. - Oóż, czekałeś wystarczająco długo. To musi być ta.

Moja ciotka pojechała więc spotkać się z matką Alice i dostać zgodę od jej rodziny, a także ustalić datę ślubu. Wypadło na 7 listopada 1970 roku. Wtedy jednak zmarł mój krewny i musieliśmy wszystko odwołać. Ponownie wyznaczaliśmy

datę ślubu, ale wtedy zmarł inny krewny i znów musieliśmy wszystko zmienić. Po raz trzeci ustaliliśmy datę i tym razem, w noc poprzedzającą małżubiny, jeden z moich najlepszych przyjaciół – tego dnia szyć mi akurat ślubną koszulę – zginął w wypadku samochodowym. Gdy usłyszałem, że zginął zaledwie parę godzin przed moim ślubem, zacząłem rwać włosy z głowy. Przygotowaliśmy mnóstwo jedzenia, ludzie zjeżdżali się ze wszystkich stron, Długi Dom był pełen gości.

Wtedy Babcia powiedziała: – Jeżeli teraz sobie z tym nie poradzisz, musisz odwołać ślub raz na zawsze. Wy dwoje nigdy się nie pobierzecie.

Moje ciotki zebrały się więc z wodzami i podjęły decyzję. Porozmawiały z matką mojego przyjaciela, żeby zobaczyć, czy z nią wszystko w porządku. Zgodziła się, a mnie powiedziała:

– Dalej chłopcze, żęń się!

Ślub wyznaczono na jedenastą rano. Przed rozpoczęciem podeszła do mnie matka przyjaciela i spytała, czy bym nie zechciał ubrać go w pogrzebowy strój. Zdjąłem swą czerwoną ślubną koszulę – tę którą on sam uszył i bardzo podziwił – i ubraliśmy go w nią. Do Długiego Domu poszedłem na ceremonię ślubną nie wcześniej jak o drugiej po południu. Wszyscy płakali. Był to najsmutniejszy ślub, jaki tu widziano...

Po ceremonii ślubnej zabraliśmy całe jedzenie i poszliśmy czuwać przy moim przyjacielu. Nazajutrz pochowano go w mej czerwonej ślubnej koszuli.

Jesteśmy małżeństwem od blisko dwudziestu lat. Mamy czwórkę dzieci. Nigdy się nie kłóciliśmy. Nigdy nie walczyliśmy z sobą. Gdy muszę jechać do Onondaga i wracam o drugiej w nocy, moja żona otwiera mi drzwi, uśmiechnięta. Robi mi kanapki. Nigdy nie usłyszałem od niej: "A gdzieś ty u diabła był?". Ona mówi: "Musisz być zmęczony". Tak jest. zawsze. Jest idealną żoną. Cieszę się, że posłuchałem Babci. To dlatego zawsze mówię: Idź za radą starszych".

Przełożył: Marek Maciołek

Na podstawie: *Wisdomkeepers. Meetings With Native American Spiritual Elders.* Authors: Harvey Arden and Steve Wall. Beyond Words Publishing, Inc. Hillsboro, Oregon 1990, s.86-91.

ZMARŁ SUN BEAR



Urodził się w r. 1929 w rezerwacie White Earth w stanie Minnesota, pochodził z plemienia Chippewa. Doznane wizje ukazały mu, że jego powołaniem i życiową drogą jest przekazywanie tradycyjnej indiańskiej wiedzy o przyrodzie innym ludziom. Jako jeden z pierwszych szamanów indiańskich w Ameryce Północnej zaczął się dzielić tą wiedzą nie tylko z Indianami. Sun Bear uczył jak ważne jest, aby pojedynczy człowiek znalazł swoją Ścieżkę Mocy i nauczył się odpowiedzialności za siebie i Matkę Ziemię. Widział siebie nie tylko jako tradycyjnego szamana Chippewa, ale przede wszystkim jako nauczyciela przekazującego ponad granicami indiański sposób życia i najcenniejsze wartości kulturowe, funkcjonujące w bliskim i przyjacielskim stosunku z Przyrodą.

Wizje sprawiły, że Sun Bear jako życiowe zadanie przyjął nauczanie ludzi indiańskich koncepcji życia w harmonii z przyrodą, aby każdy zainteresowany człowiek mógł odnaleźć swoją Ścieżkę Mocy i wziąć udział w leczeniu Matki Ziemi.

Sun Bear odwiedzał różne kraje na wielu kontynentach, prowadząc wykłady, seminaria, ceremonie. Bardzo poważnie myślał o przyjeździe do Polski.

Wiosną 1991 r. długo rozmawiałem z Sun Bearem podczas naszego spotkania w Puggen w p.ln. Niemczech. Mój nauczyciel poprosił mnie wówczas, aby przed jego przyjazdem do Polski zapoznać ludzi w naszym kraju z jego naukami.

Niestety, nie będzie mógł już osobiście opowiedzieć polskim słuchaczom o swoich wizjach, ani zaprosić do obrzędu św. fajki. Zmarł po długiej i ciężkiej chorobie w czerwcu tego roku.

Leszek Michalik

Matthew Restall

TAŃCZĄCY Z HISTORIA



Trzynastodiamentowy pas trzynastu Zjednoczonych Stanów do Sześciu Narodów
1775-76

Odysseya Dr Grega Schaafa z kulturą tubylczoamerykańską, dyplomacją z czasów Rewolucji i Konstytucją Stanów Zjednoczonych.

Większość historyków marzy o znalezieniu skarbu w postaci dokumentów, które wyrobią im reputację na całe życie. W 1976 r. pewien dwudziestotrzylatek, który nawet jeszcze nie ukończył szkoły, odkrył właśnie taką historyczną kopalnię złota: brakujące strony dziennika z 1775 r. pika George'a Morgana, Agenta Indiańskiego Kolonistów, oraz listy do niego od takich osobistości jak John Hancock i Jerzy Waszyngton.

– "To był prawie cud – powiedział Dr Gregory Schaaf – Czasami zdarza się, że znajdujemy się na właściwym miejscu we właściwym czasie i nasze życie ulega zmianie. To właśnie przytrafiło się mi, gdy odkryłem dokumenty Morgana. Byłem w domu przyjaciela, zadzwonił telefon; 34-letnia kobieta poszukiwała historyka do zbadania dokumentów jej rodziny. Mój przyjaciel powiedział, »Co za szczęśliwy traf, obok mnie siedzi młody historyk«. Umówiliśmy się na spotkanie, złożyłem grzecznościową wizytę starszej pani spdziałając się odkrycia czegoś w rodzaju miłosnych listów wujka Johna do ciotki Mary. To, co zobaczyłem, zostało okrzyknięte najważniejszym odkryciem unikalnych dokumentów dotyczących historii Tubylczych Amerykanów".

Schaaf, obecnie profesor Studiów Etnicznych na Uniwersytecie Stanu Minnesota w Mankato, wykorzystał dokumenty Morgana jako podstawę do opublikowanej

niedawno książki, *Wampum Belts and Peace Trees: George Morgan, Native Americans and Revolutionary Diplomacy*. Jego czterdziestoletnie badania nad autentycznością i tłem historycznym dokumentów wiodły go od publikacji na łamach *People Magazine* i *National Geographic*, do Rad Tubylczych Wodzów (Councils of Native American Chiefs), do izb Senatu USA i Narodów Zjednoczonych. "Miliony ludzi na całym świecie słyszało o odkryciu tych dokumentów – stwierdził Schaaf – lecz do chwili ukazania się książki ludzie nie mogli ich przeczytać". Dokumenty ułożone są w opowieść o pokojowej misji George'a Morgana wśród indiańskich narodów w czasie wybuchu Wojny o Niepodległość. Lecz dokumenty te stanowią coś więcej niż dobrą opowieść.

"Na przykład – wyjaśnia Schaaf – Dr Robert Muller, były zastępca sekretarza generalnego ONZ, który zaprosił mnie do wygłoszenia przemówienia, powiedział mi, że książka o historii pokojowych wysiłków amerykańskich Indian sprzed dwustu lat mogłaby zainicjować globalny ruch filozoficzny o istotnym znaczeniu. Uważał, że tradycje Indian amerykańskich reprezentują istotną część wielkich potencjalnych wartości, i że międzynarodowi ambasadorowie mogliby odnieść korzyść ze studiów nad dostosowaniem się George'a Morgana do kultury indiańskiej."

Muller powiedział, że wymowa doku-

mentów Morgana jest tak na czasie, że mogłaby stanowić duchowe i kulturowe podłoże dla ruchów środowiskowych i pokojowych na świecie. "Morgan został poświęcony do pracy dla pokoju – stwierdził Schaaf. – Dowiedział się od indiańskiej starszyny, że głęboki ich fundamentalnej mądrości są stosunki zachodzące między ludźmi i ich więź z Ziemią".

Schaaf wskazuje, że to, co wydarzyło się 200 lat temu w Ameryce Północnej, obecnie ma miejsce w Amazonii, ostatniej oazie tubylczej kultury na całej półkuli. Zadaje pytanie, czy 200 lat później "jesteśmy wystarczająco mądrzy i dojrzały aby nie tylko tolerować te inne kultury, lecz popierać ich przetrwanie i uznawać ich znaczenie i wkład do kultury światowej?"

Zapytany czy nie miał możliwości poruszyć tego w swoim wystąpieniu przed Senacką Komisją do Spraw Indian, Schaaf odpowiedział – "Tak. Zaproszono mnie do wygłoszenia przemówienia na temat genezy Konstytucji. Przedstawiłem dokumenty Senatowi i zostały one powielone i rozprawdzone w Izbie Reprezentantów, i w rezultacie Kongres przyjął rezolucję, podpisaną przez prezydenta Busha, w której, po raz pierwszy w historii rząd Stanów Zjednoczonych oficjalnie uznał, że główne idee Konstytucji Stanów Zjednoczonych rzeczywiście zostały zaczerpnięte od amerykańskich Indian, że cała struktura rządu Stanów Zjednoczonych została wyraźnie oparta na Konfederacji Irokezów".

Schaaf prowadził również badania wśród współczesnych Tubylczych Amerykanów, doświadczenie to jest bliskie jego sercu. Jakże Swamp, wódcę Klanu Wilka narodu Mohawków z Akwesasne, z północnej części stanu Nowy York, powiedział Schaafowi, że dokumenty Morgana "udowadniają, że opowieści opisujące pokojowe wysiłki Irokezów w czasie amerykańskiej Rewolucji, przekazywane od siedmiu pokoleń przez naszą starszą, są prawdziwe".

"Od dwustu lat mieli tę opowieść zanieszoną w Wampum Belts and Peace Trees – mówi unoszący się radością Schaaf. Lecz nie mogli tego udowodnić". Z opowieści tej jasno wynika, że traktat pokojowy zawarty z narodem indiańskim w 1775 r. uchronił kolonistów przed niechybnym zniszczeniem przez połączone siły brytyjsko-indiańskie. W podziękowaniu koloniści złożyli traktat a później zaprzeczali nawet, że w ogóle istnieje.

A pkk. Buttler z armii brytyjskiej ostrzegał Indian w 1775 r., że koloniści "mają zamiar odebrać wam wszystkie ziemie i zniszczyć waszych ludzi".

Co się więc stało z trzynastodniamentowym pasem wampum, wysłanym przez Kongres USA do indiańskich narodów 214 lat temu? "Pewna matka Klanowa Onondaga o nazwisku Alice Papineau zabrała mnie w odwiedzin do starego wodza narodu Seneków Corbetta Sundoma – opowiadał Schaaf. – Przeczytałem mu przemówienia odzwierciedlone w wampumach z 1776 roku i kiedy skończyłem to, w którym rząd Stanów Zjednoczonych zawarł swoje pierwotne obietnice, symbolizowane przez trzynastodniamentowy pas wampum, zapytałem Sundoma czy kiedykolwiek słyszał o tym pasie, on podniósł oczy i powiedział: "No cóż – tu Schaaf wstrzymał oddech – mamy go".

Wiele lat temu – wyjaśnia Schaaf – zapytano Sundoma dlaczego Rada Wodzów płaci każdego roku rachunek w banku i ktoś odpowiedział, że mają depozyt. Nikt nie pamiętał co znajdowało się w środku, mieli go od tak dawna. Okazało się, że jest to oryginalny pas, bez przemówienia, które odzwierciedla. Przemówienie to leżało na strychu domu pani Morgan".

Wampumy symbolizowały porozumienia między narodami lub pomiędzy ludźmi i ich rządami. Wszystkie porozumienia zawierano w obliczu Stwórcy, gdyż polityka była aktem duchowym. Tylko wtedy traktaty mogły przetrwać.

"Ten traktat jednak nie przetrwał – szeli się Schaaf. – I dzisiaj musimy napisać sami siebie jak powiadamy respektować traktaty, które my, ludzie, zawieramy z innymi narodami, ponieważ chodzi tu o słowo i reputację Właz. Sama. My, ludzie, musimy podjąć odpowiedzialność. Niepodległość naszego narodu spoczywa na nas, na obywatelach, nie na naszych reprezentantach. Oto czego nauczyła Konfederacja Irokezów naszych Ojców – założycieli 200 lat temu".

"Jednakże – dodaje Schaaf z grymasem na twarzy – gdyby nasi Ojcowie – założyciele skwapliwie przestudiowali koncepcję tubylczego Wielkiego Prawa Pokoju wówczas mielibyśmy również Matki – założycielki. Podstawową zasadą tego wielkiego prawa jest to, że rząd kobiet nominuje wodzów i może ich usunąć, jak również może się sprzeciwić wojnie. Zastanawiam

się, jak mogłaby zmienić się historia świata gdyby kobiety na całym świecie miały takie prawo".

Dr Schaaf wysłał egzemplarz swojej książki prezydentowi Bushowi, sugerując aby ją przeczytał zanim ogłosi wojnę na Bliskim Wschodzie. "Wierzę, że znajdzie pan inne rozwiązanie zamiast wojny – pisał Schaaf – które można znaleźć w dawnych sposobie zawierania pokoju zwanym dyplomacją wampum". Jakiś pracownik Białego Domu odpisał: "Wiem, że prezydent chciałby, abym panu podziękował za pamiątkę troskę okazaną w przesłaniu mi pana nowej książki i podzieleniu się panu pańskimi spostrzeżeniami".

Schaaf nie poddaje się i napisze do prezydenta ponownie. "Sądzę, że my jako naród – mówi – możemy efektywniej negocjować na płaszczyźnie globalnej patrząc na świat z wielokulturowej perspektywy. Musimy spojrzeć spoza euro-amerykańskiego punktu widzenia i uznać dorobek Środkowych Amerykanów, Azjatów, Afrykanów, Arabów. Sprawa, która uczyniła George'a Morgana efektywnym dyplomatą było to, że zaczął dostrzegać filozofię, widzenie świata Tubylczych Amerykanów".

Kiedy mówi się o filmie Kevina Costnera *Tańczący z Wilkami*, Schaaf ożywia się. Mówił go dwa razy do tej pory i zafascynowany jest podobieństwem między tymi dwoma opowieściami. Chociaż film jest fikcyjny, a jego książka faktograficzna, zarówno John Dunbar – scharakteryzowany przez Costnera w filmie – jak i George Morgan zagłębili się w kulturze Tubylczych Amerykanów, tak mocno, że zaczęli przyswajać ich widzenie świata. To zmieniło ich życie".

Zajmowanie się przez blisko pięćnaście lat społeczeństwem Tubylczych Amerykanów zdaje się mówić samo za siebie. Dr Schaaf gorąco wierzy, że wszyscy moglibyśmy skorzystać z nauk dostarczonych przez te doświadczenie.

"Gdyż, że gdyby prezydent Bush częściej podejmował negocjacje i patrzył na świat przez pryzmat szanowania zwyczajów innych kultur, to sprawy sporne mogłyby być rozwiązywane raczej drogą rozmów niż rozlew krwi".

Głęboko Schaaf sam negocjuje umowę na zrealizowanie mini serialu telewizyjnego na podstawie Wampum Belts and Peace Trees. "Jednym celem jest dotarcie do tak wielu ludzi jak to tylko jest możliwe – stwierdza – ponieważ sądzę, że Ameryka-

nie ma prawo dowiedzieć się prawdy o tym, jaka jest geneza potęgi Stanów Zjednoczonych. Wersja amerykańskiej historii w szkolnych podręcznikach nie była w pełni zgodna z prawdą. Amerykanie mają prawo do tej prawdy".

Schaaf uważa rasizm i wojnę jako rezultaty wypaczonego procesu edukacyjnego. "W czasie wojny istnieje tendencja do dehumanizacji wroga. Zdarzało się to podczas wojen z amerykańskimi Indianami i zdarza się to dzisiaj wobec Arabów. Nazywanie Indian "dzikimi" miało najprawdopodobniej usprawiedliwić zagarnięcie ich ziem i zasobów" – mówi ze smutkiem naukowiec. Dodaje, że dążenia Tubylczych Amerykanów, zarówno wtedy jak i obecnie, są takie same jak dążenia chińskich studentów, Wschodnich Europejczyków i wyznawców islamu. – "Chcą mieć prawo do zagwarantowania swej suwerenności, do określenia swej własnej przyszłości". – Schaaf dowodzi, że paralele i nauki są oczywiste. – "Musimy uznać inne narody, u siebie i za granicą, za braci i siostry. Nie wolno już nam, jako narodowi, usiłować narzucać innym narodom naszego widzenia świata. Świat stanie się przez to bardziej pokojowy i tolerancyjny, jeśli pozwolimy ludom świata określać ich własną przyszłość".

Tak czy inaczej pozostaje on optymistą. – "Głęboko wierzę w Amerykanów i ludzi na świecie. Gdybyśmy teraz mogli wybierać między wojną a pokojem, pokój odniósłby przekonywające zwycięstwo. Gdybyśmy mogli głosować w sprawie rasizmu, rasizm straciłby poparcie".

Lecz czy jest to do osiągnięcia? – "W obliczu zbliżającej się 500 rocznicy odkrycia Kolumba przez amerykańskich Indian, musimy ponownie przemyśleć naszą historię, spojrzeć na historię Zachodniej Półkuli nie tylko z perspektywy Europejczyków, którzy dopłynęli do naszych brzegów, lecz również z perspektywy tubylczych ludów tej ziemi, którzy stali na brzegach i ich witali. Jeśli podejmijemy ten krok i osiągniemy tę świadomość przed rokiem 1992, wówczas być może przed rokiem 2000 marzenie o jedynym pokoju mogłoby zacząć się spełniać".

Matthew Restall
Akwesasne Notes, Wiosna 1991.

Tłum. Wiesław Kołeczek

Marek Nowocien

FILMOWY ŚWIAT INDIAN

Od kilku lat - dzięki rozwojowi techniki wideo i telewizji satelitarnej, ale także dzięki poszerzaniu naszych kontaktów z tubylczymi Amerykanami oraz rosnącemu zainteresowaniu nimi ze strony ludzi amerykańskiego kina i telewizji - mamy okazję do oglądania różnych, lepszych i gorszych, filmów "o Indianach". Pod tym ogólnym hasłem kryją się zarówno tradycyjne westerny, w których obraz Indianina z reguły niewiele ma wspólnego z rzeczywistością, jak i pewien typ "anty-westernów", których twórcy ukazują historię Dzikiego Zachodu od innej, ignorowanej dotąd, choć nie zawsze autentyczniejszej - strony. Coraz częściej też filmowcy sięgają po tematy współczesne, tworząc oryginalne - lub stanowiące adaptacje literatury - filmy, których bohaterami są, mniej lub bardziej realistycznie pokazani, dzisiejsi Indianie.

Z reguły są to filmy o postaciach samotnych, skonfliktowanych z otoczeniem. Czasem - heroicznych, często - smutnych i godnych pożałowania. Jeżeli nawet ich twórcom przyswiecają jakieś głębsze - poza epatowaniem tanią sensacją, egzotyką i brutalnością - cele, to rzadko kiedy widzowie są w stanie zrozumieć motywacje ich bohaterów. Zwykle niewiele też dowiadują się o realnym świecie dzisiejszych Indian i przyczynach konfliktów, w które popadają oni tak na ekranie, jak i w życiu. Podobnymi wadami obarczone bywają poświęcone Indianom - dawnym i współczesnym - filmy dokumentalne. Nic dziwnego więc, że do wyjątków należą sytuacje, w których z filmowego obrazu zadowoleni są wszyscy - twórcy, krytycy, szeroka widownia i pokazywani na ekranie - lub tylko udawani - Indianie.

Od chwili, kiedy na ekranach naszych kin pojawił się *"Tarczący z Wilkami"*, na pytanie o moją opinię o nim odpowiadałem zazwyczaj: "To bardzo dobry film. I DOERY film o Indianach. "Dlaczego tylko "dobry"? Początkowo trudno mi było uzasadnić tę swoją instynktowną ostrożność. Bo czego więcej można oczekiwać od filmu, który i tak ukazuje świat dawnych Indian

w sposób bliski apologetyki - choć te płynne granice nie przekracza? Czy dla Indian i ich przyjaciół może być coś bardziej wartościowego, niż żywa, piękna i symboliczna w swej wymowie opowieść o heroicznej próbie pokonania przepaści dzielącej harmonijną kulturę Lakotów od chorej cywilizacji XIX-wiecznej Ameryki? Jakże jeszcze przesłanie winien nieść BARDZO DOBRY film "o Indianach"?

Nie jest łatwo odpowiedzieć na te pytania. Szczególnie, że trudno poznać opinie wszystkich zainteresowanych i ze nasze - europejskie - opinie nie muszą pokrywać się z punktem widzenia białych - lub tubylczych - Amerykanów. Dzisiaj jednak, w półtora roku po premierze *"Tarczącego z Wilkami"* (19.10.1990 r.), po nabraniu do niego dystansu i obejrzeniu paru innych filmów, jest to niecc łatwiejsze - także dzięki nowym efektom współpracy filmowców z Indianami.

Nieczęsto zdarza się, by na ten sam temat powstały niemal jednocześnie dwa różne filmy - dokumentalny i fabularny. Jeszcze rzadziej reżyserem obu bywa ten sam uznany twórca filmowy. Jeśli twórcą tym jest *Michael Apted*, a bohaterami jego filmów - współcześni Indianie, to jest to z pewnością coś wyjątkowego - zarówno w historii kina, jak i w dziejach samych tubylczych Amerykanów, nie mających dotąd zbyt wielu powodów do zadowolenia ze swoich filmowych "portretów".

Michael Apted jest znanym i cenionym od lat twórcą filmów dokumentalnych. Wśród jego dzieł są takie - klasyczne już - filmy, jak *"Coalminer's Daughter"* (Córka górnik), *"35 Up"* (Od 35 wzwyż), czy *"Gorillas in the Mist"* (Goryle w mgłę). Jego dokumenty cechują się zwykle wyjątkową dbałością o antropologiczne i etnograficzne szczegóły, niebanalnym spojrzeniem na charaktery ukazanych postaci i wyrazistym tłem społecznym.

Kiedy kilka lat temu *Apted* ze swoją ekipą na długie miesiące zadomowił się w rezerwacie Pine Ridge w Dakocie Południowej, a jego ambitne plany zaczęły wychodzić na jaw - nie brakło wątpliwości.

Wielu białych krytyków i - choć z innych powodów - również wielu Indian wyrażało swoje obawy, czy i tym razem uda mu się dotrzeć do źródeł wyjątkowo skomplikowanego i "śliskiego" problemu, a zarazem zachować niezbędną w takich przypadkach obiektywność i dystans.

W maju tego roku na ekrany kin w USA weszły dwa filmy *Michaela Apteda*. Obok osoby reżysera łączy je czas, miejsce i problemy bohaterów - współczesnych Indian z Dakoty Południowej. Choć różne w swej konwencji i charakterze, oba filmy doskonale jednak uzupełniają się i - w sumie - wydają się skutecznie zaprzeczać wcześniejszym obawom sceptyków.

Pierwszy z nich, zrealizowany nieco wcześniej, nosi tytuł *"Incident at Oglala"* (Incydent w Oglala) i jest pełnometrażowym dokumentem poświęconym głosnej w świecie, lecz mało dotąd znanej w samych Stanach Zjednoczonych tzw. sprawie *Leonarda Peltiera*. W oparciu o fakty, dokumenty oraz zeznania licznych przewijających się na ekranie świadków i uczestników dramatu reżyser dokonuje w nim próby rekonstrukcji różnych, bardziej i mniej wiarygodnych, wersji śmierci dwóch agentów FBI, zastrzelonych 26 czerwca 1975 r. w rezerwacie Pine Ridge.

O morderstwo władze oskarżyły trzech członków Ruchu Indian Amerykańskich (AIM), dążącego do odrodzenia tradycyjnego stylu życia Lakotów i usunięcia uważanych za skorumpowane władz plemiennych. Dwóch z nich - *Bob Robideau* i *Dino Butler* - zostało uniewinnionych, bowiem udało im się przekonać ławę przysięgłych o tym, że ich udział w strzelaninie w Oglala był aktem samobrony w, pełnym gwałtu i niewyjaśnionych przypadków śmierci, rezerwacie.

Sądzony później *Leonard Peltier* skazany został na podwójne dożywocie w procesie, który zdaniem jego obrońców i przyjaciół - a teraz także i twórców filmu - trudno nazwać sprawiedliwym. Widz wychodzi z kina przekonany, że FBI i oskarżyciele nie zawahali się przed przedstawieniem sfałszowanych dowodów i fałszywych świadków, by zemścić się na Peltierze za śmierć dwóch młodych stróżów prawa i niewygodne dla władz poczynania znanego działacza AIM-u.

Film nie stawia kropki nad "i", nie usiłuje ferować ostatecznych wyroków. W przekonujący sposób ukazuje za to narosłe przez 16 lat wątpliwości. Stawia

pytania, które w sposób bardziej przekonujący, niż dotąd - ale czy wystarczająco dobitny, by poruszyć sumienia członków wymiaru sprawiedliwości? - podważają wiarę wielu widzów w nieomylność - i obiektywność - amerykańskiego prawa.

Współproducentem i narratorem *"Incidentu w Oglala"* jest *Robert Redford*. Podobnie jak *Jane Fonda*, czy *Marlon Brando*, *Robert Redford* od dawna znany jest ze swojej sympatii dla Indian. Był m.in. producentem cenionego przez tubylczych Amerykanów westernu *"Milagro Beanfield War"* (Wojna o fasolowe pole w Milagro) oraz narratorem poświęconego Zachodnim Szoszonom filmu *Joeja Freedmana* *"Broken Treaty at Battle Mountain"* (Złamany traktat w Battle Mountain). W tej ostatniej roli konkuruje zresztą z indyjską pieśniarką *Buffy St. Marie*, narratorką takich dokumentów, jak *"Bizonów już nie ma"*, *"Przerwana Tęcza"*, *"Uranium, Canada"* oraz fabularnego *"Syn Gwiazdy Porannej"* (o którym pisaliśmy w numerach 16 i 17).

Robert Redford już w 1981 r. zainteresował się sprawą *Peltiera*, odwiedził go w więzieniu w Marion i spotkał się z *Peterem Matthiessenem*, piszącym wówczas demaskatorską książkę *"In the Spirit of Crazy Horse"* (W Duchu Szalonego Konia), poświęconą walce władz z *Leonardem* i innymi działaczami AIM-u. "Wydawało się jasne - mówi o *Leonardzie Redford* - że załatwiono go. Nie wiedziałem, czy jest winny, czy nie. Nawet jeśli był, to było pewne usprawiedliwienie. Mieliśmy wojnę domową [w rezerwacie] i Indianie mieli prawo czuć się wystarczająco zagrożeni, by walczyć o swoje życie".

Redford był też w Waszyngtonie, by wysłuchać, co mają w tej sprawie do powiedzenia ludzie z FBI. Nie dowiedział się wiele, ale trochę pod wpływem tego spotkania, a trochę ze względu na nazbyt drażliwy - jego zdaniem - temat i brak jednoznacznych dowodów niewinności *Peltiera* zrezygnował z pierwotnego zamiaru nakręcenia filmu fabularnego o zająciach w Pine Ridge. Wspólnie z *Michaeliem Aptedem* przystąpił natomiast do tworzenia filmu dokumentalnego, umożliwiającego szczegółowsze przedstawienie różnych aspektów tej pogmatwanej historii.

Na ukrycie pod płaszczykiem fikcji ekranowej pewnych - ciągle jeszcze zbyt kontrowersyjnych - prawd o współczesnej sytuacji Indian - zdecydował się za to

Sam Michael Apted. Już podczas realizacji "Incydentu w Oglala" zorientował się on, że przy najlepszych chęciach i umiejętnościach nie uda mu się przedstawić w godzinnym filmie dokumentalnym całej tragedii egzystencji Lakotów w Pine Ridge, ani tej siły mistycznych tradycji, która tak kiedyś wciągnęła "miejskich" Indian z AIM. Uczynił to w drugim reżyserowanym przez siebie filmie - fabularnym obrazie "Thunderheart" (Serce-Jak-Grzmot), którego premiera - podobnie jak "Incydentu w Oglala" - odbyła się w maju tego roku.

Autorem scenariusza i współproducentem "Thunderheart" (obok Roberta de Niro i Jane Rosenthal) jest John Fusco. Stworzył on luźno opartą na historii Peltiera sensacyjną opowieść o agencie FBI, który odnajduje swoją duszę i indyjskie korzenie podczas śledztwa w sprawie morderstwa, popełnionego w fikcyjnym rezerwacie Bear Creek w Dakocie Południowej (film kręcono w Pine Ridge).



Agent Raymond Levoi - którego gra Val Kilmer, genialny twórca roli Jima Morrisana z filmu "The Doors" - jest ćwierć krwi Indianinem, "czerwonoskórym z Waszyngtonu", jak obraźliwie zwą go mieszkańcy rezerwatu. Zbyt wyobcowany, by cenić swych indyjskich przodków (którzy kojarzą mu się jedynie z legendarnym "tygrysem" Geronimo i filmowym "dobrym Indianinem" Tonto) agent Ray nie akceptuje służbowego przydziału, oparte go na jego pochodzeniu.

Dopiero dramatyczny bieg wypadków sprawia, że Ray stopniowo uwalnia się od

swojej pozornej wyższości, poznaje problemy rozdartej przemocą indyjskiej społeczności Lakotów (akcja filmu toczy się pod koniec lat siedemdziesiątych) i akceptuje swe związki z indyjską społecznością, zyskując dużo więcej, niż tylko zaszczytne tytułowe imię "Ta samu krew, którą przelano w trawie i śniegu nad Wounded Knee, płynie przez twoje serce" - słyszy od jednego z bardziej świadomych tradycji swego ludu Indian.

Ale "Thunderheart" jest czymś więcej, niż egzotycznym kryminałem i obrazem przemian zachodzących w świadomości młodego Metysa. Twórca filmu, nie będąc już zmuszonym do ścisłego trzymania się faktów i wąskich ram dokumentu, zyskuje czas na szersze przedstawienie wstrząsającego obrazu sytuacji w rezerwacie Lakotów i ukazanie magicznej mocy i piękna indyjskich tradycji. Wyzierająca zewsząd nędza porusza bohatera nie mniej, niż odkrywany stopniowo przed nim - i widzom - świat dawnych obyczajów, obrzędów i wierzeń Lakotów.

W pokonaniu przepaści między dwoma światami pomagają Rayowi mieszkańcy rezerwatu. Oni też uświadamiają młodemu agentowi niewygodną dla niego prawdę o morderstwie, które bada. Motywy zbrodni okazują się zbliżone do prawdziwej sytuacji, zaistniałej w Oglala: ma to być próbka "unieszkodliwienia" indyjskich działaczy przez fałszujących lub ignorujących dowody zbrodni stróżów prawa.

Autentyzm całemu obrazowi dodaje fakt, że występujący w filmie Indianie nierzadko wcielają się w postaci bardzo sobie bliskie. Stary przebiegły szaman Sam Reaches to prawdziwy duchowy przywódca Lakotów Ted Thin Elk. Fodejrzany o morderstwo indyjski działacz Jimmy Looks Twice to autentyczny przywódca AIM, pieśniarz, poeta i obrońca Leonarda Peltiera John Trudell. Zaś grający samego siebie (!) Dennis Banks to nie tylko legendarny współzałożyciel Ruchu Indian Amerykańskich, ale i weteran wielu planów filmowych (Dennis Banks wystąpił m.in. - i to w podwójnej roli - w dostępnym u nas na Kasetach wideo filmie "War Party" (czyli "Oddział") tłumaczony zle jako "Krwawe przyjęcie" - współczesnej, lecz zbyt baśniowatymi - choć planowane inne, bardziej realistyczne, zakończenie - opowieści o małej, lecz tragicznej, "wojnie" w rezerwacie.)

Gdyby twórcy filmowi mniej ulegali komercyjnym naciskom, i - choćby wzorem Apteda - bardziej dbali o realizm filmowych sytuacji, postaci i motywacji, to może łatwiej byłoby nam - widzom - pojąć ciągłość historycznych losów dawnych i współczesnych nam tubylczych Amerykanów. Być może łatwiej dostrzelibyśmy podobną naturę indyjskich wojen XIX w. i aktualnych konfliktów, wybuchających w Kraju Indian. I szybciej odnaleźlibyśmy cechy wspólne dla wielkiego Szalonego Konia, odtwarzającego go w "Synu Gwiazdy Porannej" indyjskiego aktora Rodneya A. Granta (nominowanego do Oscara odtwórcy Wiatru-w-Jego-Włosach z "Tańczącego z Wilkami") i uwięzionego za działalność "w duchu Szalonego Konia" Leonarda Peltiera.

W filmie "Thunderheart" nie brakuje realizmu i autentyczności kreowanych postaci - także dzięki profesjonalizmowi jego twórców i wykonawców. Istotne dla biegu wydarzeń role grają tam tak znani aktorzy, jak Sam Shepard (jako cyniczny agent FBI Frank Coutelle), Frank Ward (jako buńczuczny przewodniczący rady plemiennej) i - głównie - pamiętny Kopiący Piak z "Tańczącego z Wilkami" - Graham Greene. Wyrastający na gwiazdę sporego formatu Greene wcielił się tym razem w rubaszną postać indyjskiego policjanta Waltera Crow Horse'a, który nie bez wahan wprowadza Raya w pelen skrajności, bólu i uroku świat Indian.

Obok autentycznych plenerów, lakotkich aktorów, uroczystego powowu i obrzędu szalasu potu widzimy więc na ekranie tworzące szarą indyjską codzienność zrujnowane domostwa, wraki samochodów i wnętrza niczym wyjęte zyciem gdzieś z krajów "trzeciego świata". I dokładnie takiego określenia używa do opisanie rezerwatu jeden z filmowych bohaterów.

Film o tak dużej dozie autentyczności z łatwością mógłby stać się nudny. Ale Michael Apted jest zbyt doświadczonym dokumentalistą. Pełna napięcia fabuła, barwne postaci bohaterów, dramatyczny - choć może nieco zbyt melodramatyczny w porównaniu z brutalnością całego obrazu - finał czynią z "Thunderheart" film atrakcyjny i - miejmy nadzieję - komercyjny (więc szybciej dostępny i u nas).

Mimo koniecznych dla tego gatunku uproszczeń film jest też dość niebanalny w swym przesłaniu. Widz wynosi z kina świadomość ogromnych problemów społecz-

nych w rezerwach (co ważne - niezależnych w znacznej mierze od woli samych Indian), przekonanie o licznych niesprawiedliwościach w ich stosunkach z amerykańską administracją i policją oraz zrozumienie potrzeby szybkich i głębokich zmian w tym, obcym dotąd dla większości białych, świecie.

"Przykre mi, że zamieszkałem w to twoją rodzinę" - mówi w jednym ze scen Ray do Magge Eagle Bear, nauczycielki i aktywistki wciągniętej w dramat (obiecujący debiut Sheila Tousey). "Moja rodzina jest w to wciągnięta od czasu lądowania Kolumba" - brzmi symboliczna w swej wymowie odpowiedź Indianki. Czy uświadomi ona widzom, że historia z fikcyjnego Bear Creek mogłaby się rozegrać w każdym z indyjskich rezerwatów w Ameryce Północnej? I czy może sprawić, by takie autentyczne dramaty, jak ten ukazany w "Incydencie w Oglala", czy zdemaskowany w kanadyjskim filmie "Zmowa milczenia" (pokazanym niedawno w naszej telewizji), stały się odtąd wyłącznie częścią świata filmowej fikcji? Być może w ten sposób kino spłaciłoby dług, jaki zaciągało przez lata "westernizacji" Indian.



Porzuconą przez Redforda, a zrealizowaną tak sprawnie przez Apteda ideę podjął niedawno także inny, nie mniej znany reżyser i twórca para-dokumentów - Oliver Stone ("Fiuto", "JFK"). Pracuje on obecnie nad przeniesieniem na ekran dopuszczonej ponownie do sprzedaży w USA - po serii procesów - książki Petera Matthiessena i uczynieniem z niej fabularyzowanego dramatu w stylu "JFK".

Poparcie, jakie wśród ludzi filmu w USA zyskuje ostatnio Leonard (Jane Fonda i Val Kilmer zapłacili np. 3 - 6 tysięcy dolarów za namalowane przez niego w więzieniu obrazy), stwarza nowe nadzieje na przełamanie istniejącej dotąd także w jego sprawie "znowy milczenia".

Pokazywane w "Thunderheart" plenery Dakoty przypominają momentami filmowane "z lotu ptaka" krajobrazy z "The Doors". Ale, poza głównym bohaterem obu filmów, Val Kilmerem - jest to z pewnością jedynie, co łączy ten realistyczny obraz z neohippisowską biografią zafascynowanego indyjską mistyką Jima Morrisona. Ukazujący się w przełomowych momentach życia artysty stary indyjski tancerz (grany przez dakockiego aktora, piosenkarza i przedstawiciela Floyd Westernmana) wciąga Morrisona w coraz odleglejsze od realnego świata zaulki wyobraźni. Złudny duch Indianina wiecznie ślepo zapatrzonego weń człowieka ku ostatecznej zagładzie. Jakże odmienną drogę ku własnemu "ja", nowemu imieniu i miejscu na ziemi odbywa zagubiony - wydawałoby się - beznadziejnie tytułowy bohater filmu Apteda.

Jakże niewiele widzów, zauroczonych np. "wodzowską" postawą Rodneya Granta zdaje sobie sprawę z faktu, że ten zaledwie 32-letni Indianin Omaha na wyzyny Hollywood trafił niemal wprost z zakładu odwykowego dla alkoholików i narkomanów. Mało kto wie, że niewiele brakowało, by Kevin Costner skreślił jego rolę ze scenariusza, bowiem początkowo Grant nie był w stanie zapamiętać nawet kilku zdań po dakocku. I że równie mroczne karty - zwykle nie z własnej winy, a na skutek warunków, w jakich przyszło im dorastać - ma w swych życiorysach wielu, uznanych dziś, indyjskich aktorów, artystów i przywódców. (Część z nich - by nie wyzywać losu - przed laty zdecydowało się np. na pełną abstinencję.)

Gdyby o ich prawdziwych losach - równie daramatycznych, jak ekranowe losy dawnych wojowników - mówiły częściej - i wernie - filmy, książki i artykuły w kolorowych magazynach, może inaczej patrzylibyśmy na Indian naszych czasów. Może w innym świetle ujrzelibyśmy tych, którzy - jak Rodney Grant, Dennis Banks, czy niezający już Will Sampson - mimo wszelkich przeciwności nie przegrali swego życia i tych wszystkich, którzy z dala od filmowych kamer wciąż toczą swe plemienne, rodzinne i osobiste wojny -

wojny ze słabością własnych charakterów, z "układami" w rezerwach, dyskryminacją poza nimi i z wszechobecnymi wciąż stereotypami. I bez filmów mogłoby powstać o tych cichych wojnach o przetrwanie, zachowanie ludzkiej godności, o dorównanie wielkim przodkom, filmowym bohaterom i naszym o nich wyobrażeniom.

Także film "Tańczący z Wilkami", oglądany z perspektywy "Thunderheart" - swego XX-wiecznego odpowiednika - oraz "Powwow Highway" - powstałej w 1989 r. historii o dzisiejszych Indianach, uznanej przez nich samych za film "pokolenia AIM-u", ale nie dostrzeżonej, niestety, przez szerszą widownię (zob. "TAWACIN" nr 15) - jawi się w nieco innym świetle. Przy całej swej rzetelności, dobrych intencjach i hollywoodzkim rozmachu ("bardzo dobry film"), dzieło Kevina Costnera ma jedną istotną wadę - nie daje choćby cienia nadziei na przetrwanie tego indyjskiego świata, który tak u-rzekł Tańczącego. Swoim melodramatycznym przesłaniem nie stwarza szansy na obecność u progu XXI wieku żywych kultur autentycznych Indian. Pozostaje tylko (?) DOBRYM filmem "o Indianach".

Czy ktoś jest w stanie wyobrazić sobie dalszy ciąg "Tańczącego", który nie kończyłby się śmiercią bohaterów w którejś z masakr końca XIX w. (Sand Creek?, Wounded Knee?). Albo - w najlepszym przypadku - ich "rozplynięciem się" gdzieś za malowniczym góskim horyzontem, wpadnięciem pod "żelaznego konia" historii? A jednak czekamy na ten dalszy ciąg. I bez protestu godzimy się na nieuchronny w takiej konwencji brak "happy endu", na śmierć "prawdzych" Indian...

Świadomości istnienia - i oczekiwania - współczesnych potomków skazanych na przeminięcie bohaterów tamtej epoki brakuje wciąż większości z nas - widzów. Dotyczy to także nas, przyjaciół Indian, zafascynowanych bohaterami przeszłości, marzących o wcieleniu się w postać ich białego przyjaciela, gotowych dzielić z nimi zmierzający ku nieodwołalnej (?) tragicznemu finałowi los. Tymczasem ci - jedyni PRAWDZIWI dziś - Indianie nie utracili wiele ze swej dawnej wielkości (chyba, że wierzymy bezkrytycznie w świat stworzony "magią ekranu"), wzbogacili swe kultury o doświadczenia kolejnych dziesięcioleci i mogliby dziś zapewne ofiarować nam więcej, niż kiedykolwiek.

Popawiające się w ostatnich latach różne - dobre i bardzo dobre - filmy o Indianach - i z udziałem samych Indian - są zjawiskiem nowym i optymistycznym. Są podejmowaną przez obie strony próbą zmiany dominującego wciąż przekonania, że "dziś prawdziwych Indian już nie ma". Tymczasem oni są - i zaczynają zdobywać Hollywood! Jednak wiele jeszcze będzie musiało się zmienić w otaczającym ich i nas świecie, zanim - jak w którychś z oczekiwanych wciąż bardzo dobrych filmów "o nich" - autentyczni potomkowie fikcyjnego Wiatru-w-Jego-Włosach i Kopiącego Ptaka dostrzegą w każdym z nas następców Człowieka-o-Sercu-jak-Grzmot.

Marek Nowakiewicz

PS 1. Części z opisanych wyżej filmów nie miałem jeszcze możliwości zobaczyć. Artykuł powstał głównie na podstawie materiałów przekazanych nam przez naszego korespondenta z USA, Jacka Piwowskiego.

Słowa otuchy dla Leonarda można wysłać do: LEONARD PELTIER DEFENSE COMMITTEE, P.O. BOX 563, LAWRENCE, KANSAS 66044, USA

PS 2. Leonard Peltier pozostaje w więzieniu w Leavenworth, w stanie Kansas. Jeśli nowe głosy w jego obronie nie poruszą opinii publicznej na tyle, by się wyraził wreszcie zgodę na wznowienie procesu lub by prezydent USA okazał mu akt łaski, 47-letni dziś następca Szalonego Konia pozostanie w odosobnieniu do roku 2015, kiedy to uzyska prawo do ubiegania się o przedterminowe zwolnienie. Leonard, dwukrotnie dotąd rozwiedziony ojciec 8 dzieci (w wieku 16 - 27 lat), stara się ostatnio o zgodę na poślubienie 25-letniej Lisy Farwala, nauczycielki angielskiego z New Jersey i od pewnego czasu działaczki Komitetu Obrony Leonarda Peltiera w pobliskim Lawrence. Ślub, zgodnie z więziennym regulaminem, dałby im prawo do pocałunku na powitanie i pożegnanie oraz trzymania się za rękę w czasie odwiedzin. Co więcej, "Przy całej międzynarodowej pomocy, jaką ma Leonard - mówi Lisa - jesteśmy przekonani, że nie mogą trzymać go dłużej za kratami. W ten sposób demonstrujemy im, że budujemy nasze życie na wolności". Tymczasem Leonard może tylko czekać. "Jestem już zmęczony więzieniem - mówi - i nie chcę tu umierać."



PISMO EKOLOGICZNO - KULTURALNE
Ekologia, głębokie wnętrza, muzyka, film
Cena jednego egzemplarza: 3.000 zł
przy zamówieniach poniżej 10 egz. + 2.000 zł (poczta)
za każde 10 egzemplarzy + 1 gratis
pieniądze najlepiej przekazem

ADRES: Filip Majchrzakowski
ul. Gospody 8 B/30, 80-340 Gdańsk, tel. 578603

Anna Peichert BYŁAM PO TAMTEJ STRONIE... (3)

Odrukujemy trzeci (i ostatni) odcinek wspomnień Anny Peichert z Kanady, dokład - podobnie jak Jacek Piwowski - została zaproszona latem 1991 r., by uczestniczyć w indiańskim "Świątym Biegu" z Vancouveru do Montrealu.

KRI

W przeciwieństwie do Jacka, który zył pięknem gór Kolumbii Brytyjskiej, dla mnie najpiękniejsze chwile i krajobrazy rozpoczęły się na terenach Kri w Albercie. Big Stone Cree, Lubicon Lake, a przede wszystkim Saddle Lake - to były miejsca, o których nie da się zapomnieć. Spiewy, muzyka bębnow brzmią w moich uszach do dziś. Często grali dla nas - biegaczy - całą noc, zdarzało mi się zasypiać w śpiworze tuż przy nich (zwykle z braku innego miejsca), co nie tylko nie przeszkadzało w wypoczynku, ale pozwalało w pełni cieszyć się snem.

Właśnie tam, w krainie Indian Kri, byliśmy chyba najbliższej natury. Często przychodziło nam rozbić namioty na noc w naprawdę dzikich zakątkach, dziesiątki mil od najbliższych osad ludzkich, gdzie samochód z trudnością mógł dojechać (często zakładaliśmy się z Paulem, które z nas ma rację, gdy trzeba było jeździć po wąskich, piaszczystych ścieżkach i wybierać trasę wyłącznie na wyczucie, bo nawet jazda według położenia słonka nie zdawała egzaminu). Wystarczyło jednak wierzyć, że dobre duchy nas nie opuszczają i pozwolą trafić tam gdzie chcemy przed zapadnięciem ciemności.

Teraz nawet zastanawiam się, jak to możliwe, że żadne z nas nawet nie wspomniało, że moglibyśmy się zgubić w setkach kilometrów kwadratowych pierwotnego lasu. Na niektórych obozowiskach bliskość niedźwiedzia, orla, jastrzębia nikogo już nie dziwiła. Dla mnie jednak największym dziwem natury były "Northern Lights", czyli zorza polarna.

Po raz pierwszy zobaczyliśmy ją w kilka osób przy ognisku Indian Kri koło Saddle Lake. Do tej pory nie wierzę, że trafiłam tam przypadkiem. Wszyscy zostali na noclegu koło areny do powowów w jakiejś szkole, a mnie zgarnął wprost z chodnika Dennis French z Kilkoma Kri. Nie wiedziałam nawet, gdzie jadę, ale była to dla mnie pewna ucieczka od przyjaćciół, którzy w takich warunkach stawiali się czasem zbyt ciężkim bagażem (bo już nawet do łazienki nie mogłam spokojnie pójść, żeby mnie ktoś nie szukał. I tu rada dla przyszłych biegaczy - nie "robić sobie" zbyt bliskich przyjaćciół, bo nieustanne myślenie o nich jest czasami nie do wytrzymania.)

Po przejechaniu zaledwie kilkunastu mil czekał na nas zupełnie inny świat. Okazało się, że dla miejscowych Kri było wielkim zaszczytem, że chcieliśmy do nich przyjechać i spędzić trochę czasu przy ich chacie, potańczyć przy ognisku, zjeść wspaniałe zarcie na tymże ognisku przygotowane i cieszyć się wspólnie pięknem zorzy polarnej kosztem naszego snu. Była to moja pierwsza - i przedostatnia - nieprzespana noc na Biegu.

Na początku staliśmy z Dermisem jak dzieci - z głowami zadartymi w górę i chyba otwartymi ze zdziwienia ustami. Przez godzinę jedynymi dźwiękami, jakie wydawałyśmy, były okrzyki zachwytu. Zorza polarna ciągle się zmienia - dotyczy to tak kształtów, jak i kolorów. Można spowodować bardzo duże przyspieszenie tych zmian poprzez intensywne dźwięki. Indianie gwizdzą wtedy lub głośno klaszczą i rzeczywiście odnosi to natychmiastowy skutek. Można być świadkiem niesamowitego widowiska.

Wydarzenia, które opisałam powyżej, miały trudny do uwierzenia wpływ na moje dalsze losy w Kanadzie. Gdybym tam nie trafiła, nie poznałabym bliżej kierowcy vana, Roda, z którym jeździliśmy z Paulem przez kilka dni. Rod i jego rodzina zapadli głęboko w moim sercu i gdy zrozumiiałam, że być może już nigdy się nie zobaczymy, to płakałam jak dziecko. Rodzina mieszkająca we wspomnianej przeze mnie chacie żyje ze sprzedaży ręcznie malowanych koszul z motywami indiańskimi, mokasynów i wyrobów koralikowych. Dzięki przezycom w Saddle Lake zdecydowałam się dwa dni później przebiec swoje pierwsze 10 mil w życiu. Był to mój bieg dla tej rodziny i całego wspaniałego narodu Kri, od którego nauczyłam się wielu dobrych rzeczy, przede wszystkim spokojnego podejścia do życia.

Nie będę już pisała, jak się biegło przy silnym wietrze prosto w twarz. W każdym razie gdy Dermet zawiózł mnie po biegu na miejsce, w którym mieliśmy czekać na resztę ludzi, oprócz Paula, Henry'ego i Kida nie było tam jeszcze nikogo. Sami musieliśmy stawić czoła reporterom (tu nie wystarczy bronić się rękami i nogami) i innym osobom, które chciały wbiegać z nami do masta położonego o 6 mil dalej. Było tam kilkoro maratończyków obu płci i europejskiego pochodzenia, i właśnie u jednej z greckich rodzin spędziłam potem cały dzień.

Co jeszcze utkwilo mi w pamięci z terenów Kri (Alberta i Saskatchewan)? Leżące przy drodze równo ułożone trzy pióra, zupełnie jakby ktoś zostawił je tam celowo. Wielki ryczący niedźwiedź, ocierający się o namiot o trzeciej nad ranem. Tabuny koni lizających w środku nocy nasze bagaże. Wyprawy łodzią na środek jeziora po wodę bez glonów lub wpraw na odległą o ponad milę wyspę. (Szczególnie jedna, z której myślałam, że już nie wrócę - olbrzymia fala w drodze powrotnej, porywisty wiatr w twarz i nie przestający gadać Celt Christian dwa metry ode mnie. Wtedy po raz pierwszy nawiedziły mnie mordercze myśli, że jak go zabiję, to może dopłynę, bo inaczej utoniemy oboje.) No i podróże samochodami policji indiańskiej, do której "miałam szczęście", także wśród narodu Odzibwejów. Nie zrozumcie mnie źle - chodziło o kontakty czysto towarzyskie.

Indianie Kri to naród spokojny, nadzwyczaj zycziwy, który dla gości oddałby wszystko. To, że jestem z Polski, ze cokolwiek o nich wiem, że słyszałam o nich wcześniej, że nimi nie gardzę, że szanuję ich i kocham - wywoływało czasem łzy w ich oczach. Polska jest dla nich bardzo egzotycznym krajem, dzieci nawet nie wiedzą gdzie to jest (coś cienko u nich z geografią), dorosłym kojarzy się z Waleśą. Polskie piosenki śpiewane przeze mnie na niemal codziennej wymianie kulturalnej przyciągały później do mnie grupy ludzi, szczególnie kobiet, które dziękowały mi i zachwycaly się.

Abym była obiektywna, muszę również napisać o tym, co mi się nie podobało (bo jak się komuś wszystko podoba, to jest podejrzane). Nie podobało mi się wychowanie dzieci - ale to nie tylko u Kri. Tak jest wszędzie, jak Ameryka duża i szeroka. Dzieci należą do wszystkich i do nikogo. Są starsznie hałaśliwe i robią, co chcą. Jak się chciało któreś "naprostować", trzeba to było robić własnoręcznie. "Zero" reakcji ze strony rodziców. Ja jestem raczej cierpliwa, ale Jacek miewał mordercze wizje...

Podsumowując, Kri są naprawdę wspaniałym narodem. Wszyscy, zarówno ci ze spokojnych, zasobnych rezerwatów, jak i biedacy, którym wpakowano szyby naftowe parę mil od domów, a także ci w miastach, z indiańskich ośrodków resocjalizacji i centrów przyjaźni. Spośród Indian, wśród których bywałam, Kri wyróżniają się też tym, że wielu z nich mówi własnym językiem, szczególnie grupy mieszkające bardziej na północy.

Anna Peichert



Gdy wiosna ubiegłego roku sprzedawałem swoje wyroby paciorkowe w Aachen, pewien człowiek przestrzegł mnie: "Nigdy nie wędruj autostopem na terenie rezerwatu..."

Jacek Piwowski

BYŁEM GOTÓW NA WSZYSTKO...

(korespondencja z USA)

10 czerwca 1992 r.

Czuję, że będzie to mój najdłuższy list z Ziemi Indian. Wizę amerykańską otrzymałem do 20 lipca. Oczywiście wysłałem podanie o następne 6 miesięcy, by móc kontynuować Święty Bieg i go ukończyć. Odpowiedź była negatywna, ponieważ... wysłałem podanie za wcześnie! W liście była notka, że podania przyjmowane są na 30 - 60 dni przed końcem ważności wizy, a poza tym okresem papiery wyrzuca się do kosza. Czekałem więc cierpliwie, aż znajdę się w tym przedziale czasowym i wysłałem wniosek z adresem zwrotnym na Alaskę, bo w Kentucky już mnie nie będzie. Tydzień później, w trzy osoby i dwa samochody, wspólnie z Dennisem (Banksem, współzałożycielem Ruchu Indian Amerykańskich, organizatorem Świętch Biegów, który w 1991 r. zaprosił Jacka na Bieg w Kanadzie i podróż po USA - MN) rzeczywiście opuściliśmy Kentucky.

W Minneapolis zabraliśmy syna siostry Dennisa i jego wnuka. W Rapid City, dołączyli jego dzieci - Tiopa, Chubbs i Buff. 4 dni na autostradzie. Nie będę opisywał, jak wygląda Idaho, Wyoming, Montana... Dojechalismy do Seattle. Tam był zaaranżowany nocleg i postój na przysznice, pranie, odpoczynek, itp. Młoda Indianka Lisa gościła nas w swoim domu. Następnego dnia mieliśmy spotkanie w koledzu. Był bęben, piosenki, przemówienie Dennisa. Tematy: Kolumb i Leonard Peltier. Był też film "Incident w Oglala" - z indiańskiego czarnego rynku (jak sami Indianie go nazywają). Było wielu ludzi z AIM, a sala nabita po burty. Dennis za ten wieczór miał otrzymać 500 dolarów. Miał być pieniądze dla Fundacji Świętego Biegu. Pieniądzy nie było. Gdy czekaliśmy na czek, Buff zabrał mnie po wizę do Konsulatu Kanady. I od tego momentu wszystko się "rozsy-
pało".

Muszę tu wyjaśnić, że moim dowodem tożsamości jest wpięty w paszportcie formularz I-94. Gdy składa się wniosek o przedłużenie wizy, to należy do niego dołączyć I-94. W Konsulacie wykładałem moje zaproszenie z Manitoby, wizę do USA i paszport. A gdzie jest moje I-94? O tutaj - wykładałem Kserówkę. Nie, nie respektujemy Kserówek, muszą być oryginały. Grzecznie tłumaczę, że moje I-94 jest właśnie w Nebrasce lub na Alasce, dla przedłużenia wizy amerykańskiej. Facet znikła gdzieś z Kserówkami, a mnie robi się ciepło, bo widzę, że coś tu nie gra. Po chwili wraca. Niestety, nie mogę Panu pomóc, muszę mieć I-94, a w ogóle gdzie jest Pana bilet powrotny do Polski? Stracił ważność w styczniu. Drogi Panie, jak Pan przyjdzie z biletem i I-94, to wtedy możemy rozmawiać. 10 minut tłumaczyłem, że planuję dalszy pobyt w USA i bilet mi niepotrzebny, że moje I-94 dostanę, gdy dotrę na Alaskę, a to 4 dni jazdy - przez Kanadę. Usłyszałem zza szyby - "Next!" Si wiedziałem, że to koniec.

W drodze powrotnej Buff cały czas pocieszał mnie - nie przejmuj się, już mój tata coś wykombinuje. I czy nie mogę dostać wizy na granicy, tak jak to było na Biegu w Europie? Ostatecznie polecę samolotem z Seattle do Fairbanks. Zrobiło mi się lżej.

Po tygodniu czekania na pieniądze opuściliśmy Seattle. Jadąc do granicy, siedziałem przy Bankisie. Wyglądowałem przy tym samym okienku, co rok wcześniej. Wszystkie paszporty O.K. A wiza tego dzentelmena? Tłumaczyłem, że chcemy tylko przejechać przez Kanadę, a wizę dostanę, gdy będę biegł z Fairbanks. Pan szczerze się uśmiecha - na Alasce nie istnieje żadna placówka wydająca wizy.

Jedynie miejsca to Waszyngton i Seattle - a to przecież niedaleko. Straciliśmy na granicy 4 godziny, poczynając od próśb (i szczerze się uśmiechając), pytań, przeszukiwania samochodów i rozmów w cztery oczy z przeorem placówki. Szczere uśmiechy zniknęły, kiedy zapytano mnie o I-94 i bilet do kraju. Nie pomogły żadne sweetgrassy, szalwie, gwizdki ani fajki w intencji naszej podróży na Alaskę. Byłem zalamany. Shit! Pułapka życiowa, nic nie można wymyśleć... Lot na Alaskę nic mi nie daje, bo w drodze ku Kanadzie jestem bez wizy. Co dalej?

Gdy dotarło do mnie, co tu zaszło, zgubiony byłem całkowicie. Dzwoniliśmy do Lisy. Nie ma czasu, by zabrać mnie z granicy i przenocować u siebie. I w ogóle dajmy jej spokój. Po tym telefonie zalamal się także Dennis. Przepakowałem bagaze do "biegowej" toyoty, zostawiając pod opiekę Buffowi mój bęben, czapkę, gitarę, poduszkę i namiot oraz orle pióra i cały strój. Wracaliśmy z Dennisem znów ramię w ramię, w tym samym samochodzie, co z Kalifornii do Kentucky przez Arizone i Nowy Meksyk. Dennis zmęczony i zalamany, łzawilo mu oko, bo lekarstwo zostało w innym samochodzie. Dzwoniliśmy na Alaskę, czy jest tam moja wiza. Bez rezultatu. Próbuje chybą z siedmiu budek - bez rezultatu.

Dennis stwierdził, że musi wracać, bo oko mu dokucza. Zgodziłem się bez namysłu. Koło północy wyładowaliśmy w obskurnym motelu za 32 dolary. Krótka rozmowa, jak syn z ojcem: daję ci 100 dolarów, nie wiem, co zrobisz i gdzie się podziejesz - to twój sprawdzian. Dotychczas układało ci się dobrze, teraz czas na test. Umawiamy się, że będzie dzwonił z Vancouver do motelu o 8.30. W głębi nocy uściskaliśmy się jak bracia i do zobaczenia... gdzieś. Nie mogłem zasnąć, bijąc się z myślami: co się stanie, jeśli nie dostanę wizy amerykańskiej do grudnia? 20 lipca muszę być w Polsce. Nie mam pieniędzy na bilet i nikt nie wie, gdzie jestem... W końcu usnąłem.

Obudziłem się o 7.00. Wciąż nie wiem, co ze sobą począć. Po godzinie postanawiam jechać do Montany. Idę wziąć przysznice, lecz stan łazienki i lodowata woda pozwalają mi tylko znieść umycie twarzy i zębów. Coś mi mówi, że snił mi

się Dennis, odwiedzający mnie o czwartej w nocy i mówiący, że będzie w pokoju o dwa numery w lewo. Jest 8.30 i nikt nie dzwoni z Vancouver (Dennis pewnie dotarł tam o 3.00 w nocy i teraz śpi). Mimo to pukam do 104. (spalem w 102). Drzwi otwiera Dennis - Jezus, jak dobrze go znowu zobaczyć! Moje "dzień dobry" jest pełne najszczęśliwszej radości.

Siadam na krawędzi łóżka (całe było zasłane papierami Biegu, pokój uwędzony od papierosów, Dennis ubrany i czynny od godziny. Mówię: wiesz co, mogło być gorzej, Bieg mógł wracać z Kanady gdzieś przez Vermont, a do Montany jakoś się doczłogać, mam na to 2 miesiące. Dennis spojrzal mi w oczy - Jest gorzej! Teraz i mnie nie chcą przepuścić... Dobrze, że siedziałem na łóżku. Jak to? W nocy była zmiana ludzi, pytano mnie, czy byłem karany, sprawdzano w komputerze i - nie pozwolono mi przejechać. Byłem gotów rozplakać się, bo zrozumiałem, że jest tu przeze mnie. Moje "dzień dobry" rozleciało się na kawałki. Fuck, co jeszcze nas dopadnie i ugryzie?

Dennis¹ dzwonił się w końcu na Alaskę. Nie ma tam mojej wizy, nie ma jej też w Kentucky. W ciągu 7 dni muszę uzyskać odpowiedź, albo jestem skazany na powrót! Jestem zalamany, na śniadanie palimy Marlboro z kawą, kręci mi się w głowie, nie mam apetytu. Dzwoni Terry Nail z Kalifornii, która na tym Biegu przejmuję obowiązki Alice (Alice będzie rodzić we wrześniu) i pyta, jak może pomóc. Hoka! - dobry Anioł. Terry dzwoni z Seattle, jest w drodze do Vancouver. Pomaga nam cudownie. Dzwonimy do Vancouver, do Sheryl (Ania zna ją z Biegu w Kanadzie). Jest 9.00., do 11.00 musimy opuścić pokój. Tiopa i Big George przyjadą odszukać nas w motelu, w tym samym czasie Terry rusza w drogę z Seattle, by zabrać nas do swojej przyjaciółki. Czekaemy w toyocie na zewnątrz. Czekaemy niecierpliwie. Gdy Terry wreszcie przyjeżdża, przepakowujemy nasze walizy do jej pickupa. Kiedy dołączają Tiopa i Big George, jemmy lunch.

Dennis udziela instrukcji, bo jest gotowy wracać do Kentucky i dołączyć w Browning (po powrocie Biegu do USA). Ja też udzielam instrukcji - dla polskich biagaczy. Dennis i ja wracamy z Terry do

Seattle, nasza toyota i auto Sheryl jada do Vancouver. Dostaję 20 dolarów od Terry, 30 - od jej przyjaciółki, Dennis mi dokłada i mam 149 dolarów na bilet do Great Falls w Montanie. Następnego dnia Dennis wyczytał z porannej gazety o samolocie na Alaskę za... 200 dolarów. Wyruszamy niemal jednocześnie. Znow ściskamy się na pożegnanie, tym razem w słoneczne południe. Poprzedniego wieczora poszliśmy razem na spacer po plaży. Fale oceanu zabrały gdzieś moje gniewy i troski, a Dennis spalał już mniej papierosów. Na pożegnanie dal mi nazwisko osoby, którą zna w Browning.

Kiedy spojrzalem na mapę, okazało się, że Browning znajduje się niemal w połowie rezerwatu Blackfeet (Czarnych Stóp), na granicy parku narodowego Glacier. Przestraszyłem się, gdy przypomniała mi się przestroga: nigdy nie wędruj autostopem na terenie rezerwatu. A niby jak ja tam dojadę ?

Do Montany autobus wjeżdżał o wschodzie słońca. Nie spałem, obserwując szczyty gór, sosny i słońce nowego dnia. W najśmielszych marzeniach nie mogłem oczekiwać, że będzie to jeden z tych dni, które określamy jako najpiękniejsze w życiu. Jeszcze przed wyjazdem Dennis spytał mnie, gdzie będę przebywał. W lesie, a gdzie mam się podziwiać... Dlatego obserwowałem Montanę oczyma trapera i Indianina walczącego o dwumiesięczne przetrwanie w lesie (w autobusie słyszałem dialogi o tutejszych misiach). Lecz gdy dotarłem do Great Falls, zniknęły drzewa i skały ze strumieniami. Pozostały pustynne przestrzenie i wielkie błękitne niebo. Za ostatnie grosze "na czarną godzinę" dotarłem autobusem do Cut Bank - pustynia, wzniesienia bez drzew, pozółkła trawa. Koniec jazdy.

Zapytani Indianie mówią mi, że do Browning jest 35 mil i najlepiej jechać tam taksówką, bo stopem nikt się nie zatrzyma. Ha, ale ja nie mam pieniędzy. Dowiaduję się za to, że Jackie Parsons (osoba, której nazwisko dał mi Dennis) pracuje tam w muzeum. Chyba z godzinę stałem na autostradzie, modląc się, by nie zgarnęła mnie policja (podróżowanie autostopem w USA jest zabronione). Zatrzymał się jakiś biały, motocyklista, z walkmanem na uszach. Oczywiście, że mnie

zabierze, ale muszę na siebie uważać, bo Browning to rezerwat, Indianie są wrogo nastawieni i w ogóle to paskudne miejsce. Przytaknąłem, że wiem o tym wszystkim i że jestem gotów tam umrzeć, bo i tak nie mam nic do stracenia. Mam spać na pustyni dwa miesiące ?

Pędził szalony jak wiatr. Oczy mi łzawiły od podmuchu, tchu nie mogłem złapać, wiatr mi tanował odech i byłem bliski uduszenia. Mój driver zatrzymał się i wytłumaczył mi, że głowę muszę opuścić ku dołowi. Rzeczywiście pomogło. Lecz miła za miłą zbliżyliśmy się do Browning i ciekawość rezerwatu Blackfeet nie pozwalała mi trzymać głowy w dół.

Największe muzeum w Browning to Muzeum Amerykańskich Indian Prerii. Blisko wejścia znajduje się "medicine stone" - magiczny głaz. Tuż przy nim złożyłem tytoń w ofierze o mój dwumiesięczny pobyt w tym rezerwacie. Wchodzę i - szok. Muzeum na 102, oryginalne stroje, itd. Nie będę pisał o muzeum, lepiej zrobi to Źródło, Ilona lub Roman. Odnalazłem córkę Jackie, pracującą w muzealnej galerii. Jej mama była gdzieś w terenie. Czekalem, czekałem. Byłem zmęczony i głodny. Zjadłem dwa banany i jabłko (na zewnątrz, bo w środku nie można). W końcu ukazała się postać o władczyim spojrzeniu i ogromnej posturze (jak się potem okazało, była to indiańska sędzina - wieczorem widziałem jej sędziowski młotek obszyty koralikami). Podając rękę, przedstawiłem się, że jestem z Biegu i powołałem się na Dennisa. Czy mogę sluzyc? Pytam, czy możemy gdzieś usiąść, bo to długa historia. O.K., ale teraz jest zajęta i muszę poczekać. Mogę czekać nawet tydzień (bo w końcu gdzie mam się podziąć?). Jackie klepie mnie po plecach - Nice to see you! Uśmiecham się, zdając sobie jednocześnie sprawę z tego, że ona nawet nie wie, że zwałem się do rezerwatu, jak głodny pies prosząc o nocleg.

Muszę poczekać, najlepiej jeżeli rozejrzą się trochę po muzeum. Po 10 minutach kręciło mi się w głowie - oryginały z XIX i XVIII wieku. Wszedłem na zewnątrz - stoi tipi... Poczulem się trochę jak Ishi, bo pomyślałem, że może zaproponują mi nocleg w muzeum. W myślach byłem już gotów na wszystko. Może lepiej umrzeć w tym rezerwacie, niż w Polsce.

Gwizd wyrwał mnie z kłębowiska myśli. Jackie zawołała mnie na lunch. Wszedłem do muzealnego biura (gdzie jest jeszcze ciekawiej, niż w muzeum). Więc jaka jest twoja story? Well, zacząłem, że jestem z Polski, że Stowarzyszenia, później Święty Bieg '90, Bieg '91, prawie roczny pobyt z Dennisem, kłopoty z wizą kanadyjską, no i... wylądowałem tutaj.

Jackie jest po 60-tce, typowa tęściowa. Przestraszyłem się nagle, jak ona odbierze tę całą historię. Pada pytanie: a co ja mam z tym wspólnego? Biorę głęboki oddech: 7 sierpnia biegacze będą biec z Edmonton do Browning, tu będzie dzień odpoczynku, chcą ich tu oczekiwać, poza tym Alice musi mi wysłać wizę amerykańską, a nikt nie wie gdzie się podziwiam. Jest wkurzona - no, to typowy balagan, jaki potrafi zrobić tylko drogi Dennis! Wykorzystując sekundę ciszy tłumaczę, że mogę pomóc w muzeum, w domu, że nie chcę żadnych pieniędzy, tylko miejsce do spania, że sprawy indiańskie nie są mi obce i że nie boję się żyć w tym rezerwacie. Jackie po raz pierwszy uśmiecha się. Długa cisza, papieros, długa cisza. Mówię, że nie palę i że postaram się nie być kłopotem dla nikogo. Czy zdaje sobie sprawę, że to dwa miesiące? Przytakuję. W końcu słyszę, jak poważny głos oznajmia - będziesz mieszkał w tipi, będziesz stróżem w muzeum. O.K.? Podnoszę kciuk ku górze.

W tym momencie w pomieszczeniu pojawia się nowy człowiek. To on ma się mną zaopiekować, więc bagaże wędrują do jego pickupa. Na stacji benzynowej widzę wielu białych. Ken, mój opiekun, mówi mi, że 40% mieszkańców rezerwatu to biali. Jedziemy za miasteczko, miła za miłą zbliżamy się do skalistych szczytów parku lodowcowego, wieczne śniegi pojawiają się w szczelinach.

Wszystko, co teraz napiszę, to za ledwie zadrapania na papierze. Wydarzenia, które miały odtąd miejsce toczyły się bowiem w zbyt szybkim tempie.

Przyjeżdżamy do doliny, gdzie w koralu znajduje się ze 40 byków i krów, na koniach jeźdźcy z lassami i towarzysstwo ze 30 osób. Normalnie w Montanie nie widuje się tylu osób na raz. Wjechaliśmy po prostu w sam środek znakowania krów.

Wszyscy piją puszkowe piwo, sfora dzieciaków - pepsi. Po kilku minutach pojawia się zaciekanie - kim jestem? Wokół hałas ryczących krów, wypalanych znakami, gwizdy, okrzyki, kurz, lassa rzucane pod nogi zwierząt, przekleństwa, sploszone konie. Jestem zszokowany tym wszystkim - byki szaleją, cierpiące krowy ryczą ludzkim głosem! Uciekam do samochodu, ale ktoś wola mnie po imieniu. W 5 minut kilka osób ściska mi dłoń śmiejąc się, że teraz moja kolej na wypalanie znaków. Mam się nie bać - na dłonie wciskają mi rękawice. Śwad spalonej sierści dusi mnie zupełnie, krowa szarpie się z nieludzką siłą. Uff... Śmiechy, kiedy jest po wszystkim. Ktoś kopie krowę w zad i zwierzę biegnie do towarzyszy w rogu koralu.

Indianie na koniach są w kapeluszach i okularach. Widać u nich perfekcję konnej jazdy. Jeden koleś z warkoczem do pasa ma kurtkę z napisem "War Party". Pytam, czy zna Dennisa, bo on grał w tym filmie. Oczywiście, film był kręcony właśnie w tej okolicy, wielu Indian z rezerwatu było statystami i nawet Jackie miała małą scenkę w tym filmie. Podajemy sobie dłonie, ktoś mi wciska piwo do ręki. Odmawiam. Kurz, wiatr, słońce, wielkie niebo, o jakieś 30 mil dalej widać osniewione szczyty skał. Mam sucho w ustach, prawie nie mogę mówić. Odpocznę na papierosa.

Teraz rzeczywiście wszyscy podchodzą do mnie, pytając o imię, skąd jestem, jak się tu dostałem i co tu robię. Jestem biegaczem, nie piję piwa, nie palę, za tymi lodowcami po kanadyjskiej stronie 7 sierpnia pojawi się około 70 biegaczy, to moi przyjaciele, w Browning przypada dzień odpoczynku i ci wszyscy ludzie z całego świata (!) będą tu przez jeden wieczór, noc, dzień, noc i rano pobiegniemy dalej do Cut Bank i Great Falls, a ja ich oczekuję tutaj do 7 sierpnia, bo nie pozwolono mi wjechać do Kanady (głos mi trochę drzał, bo całe towarzystwo otoczyło mnie ciasnym kręgiem). Naraz wszyscy zaczęli jeden przez drugiego: Gdzie jest Polska? Czy jeździłem na koniu? Skąd znam angielski? I ciągle wciskają mi piwo. Nie nadaję odpowiedzi na pytania. Naprawdę sucho mi w gardle. Piję piwo. Koniec przerwy - do roboty!

Do oznakowania zostało jakieś 6 największych byków. Do moich uszu dociera, że ten pierwszy byk jest mój! Bestia, ciągnięta za tylnie nogi, tworzy chmurę kurzu, piasek trzeszczy w zębach, chyba 7 ludzi trzyma byka lassami. Przetrasta to moje siły, cofam się wielki, wielki czarny wściekły byk! Znaki wypalone, ktoś wciska mi na głowę kapelusz, lassem opasując byka w pasie. To chrzest - muszę uisnąć okrzakiem i trzymać to lasso jak diabli. Właściwie nie ma czasu na myślenie, co się tu dzieje. Sądzą mnie na wścieklej bestii, słyszę: - "Ready? Let's do it!" Siedmiu ludzi nagle ucieka na boki, czarny zwierz z wściekłością niesie mnie na grzbiecie, jestem rzucany, lecz wciąż siedzę, trzymając linę, w końcu po sekundach robię salto w tył, gubiąc w powietrzu kapelusz i spadając na kamienie. Podnoszę się szybko, prawy łokieć i obojczyk boli niemiłosiernie. Krzyki, gwizdy, salwa śmiechu, uściski.

Krzyczą mi do uszu, że każdy musi jeździć na byku, bo taki obyczaj. Oddaję ubrudzony kapelusz i rękawice. Klepią mnie po plecach - wcale nie było tak źle, prawda? Byłem zestrachany, że przecież byk mógł roztrzaskać mi łeb racicami. Z nerwów piję drugie piwo. Z górnej poręczy korralu obserwuję, jak inni jeźdźcy spadają równie szybko, jak ja. (Później, wieczorem, zartowano, że utrzymaliśmy się na byku dłużej, niż rodowity Blackfoot.) Znakowanie zakończone.

Na wzgórzu przygotowane długi stół pod gołym niebem, nakryty potrawami jak na wesele. Pełne zaskoczenie! Od razu miałem skojarzenie, że tak samo wygląda wieczorny posiłek na Świętym Biegu. Szaleni wojownicy cichną, miękkim wręcz głosem zapraszają mnie do stołu, bym się obśmiał i nie krępował. Młode Indianki wciskają mi talerz - piękne Indianeczki. Kładę na talerz arbuza. Drugi kawałek. Smaczny owoc. Trzeci. W końcu najstarszy człowiek (jak się potem okazało - mąż Jackie) mówi mi, że powinienem zjeść coś mięsnego, bo arbuza to tylko woda. Grzecznie tłumaczę, że właśnie o to mi chodzi, by się napić, bo czuję cholernie suche powietrze od lodowców. Przyznają mi rację. Jest miło i cicho, mimo wielu ludzi nie słyszy się takiego wrzasku, jak w dolinie. Rozmawia się szeptem.

Ken oznajmia, że jestem uczestnikiem biegu z Alaski do Santa Fe, że jestem gościem Jackie w tutejszym rezerwacie i że będę tu do sierpnia. Wielu ludzi znów podaje mi dłoń, ciesząc się, że ktoś ich odwiedził na tym pustkowiu. W pewnym momencie słyszę kawałek dialogu w grupie oddalonych o 5 kroków ode mnie. Znaczenie byków jest rodzajem ceremonii odbywającej się co jakiś czas, od rana do późnego popołudnia. Według Indian to właśnie Jackie zaprosiła mnie na to święto i to dla nich dobry znak! Biegnę bowiem w imię pokoju i w modlitwie po indyjskiej ziemi. Wiem, że podsłuchiwanie to paskudny obyczaj, ale kręciło mi się w głowie od piwa, szoku jazdy na byku i natłoku zdarzeń. Prawie chce mi się płakać, bo POKOCHAŁEM TYCH LUDZI!

Przecież jeszcze tego ranka stałem na autostradzie, łapiąc autostop, zaś Jackie nie przeczuwała nawet, że postać z Polski zwali się jej na głowę. Ja zaś w najdzikszych oczekiwaniach nie sądziłem, że będę otoczony przez wojowników prairii jako ich dobry duch.

Po posiłku Indianki sprzątają, rycerze zapalają marlboro, wciąż usilnie zaprasza się mnie do przejażdżki konnej. Po pięciu minutach przekraczamy kamienisty potok, nogi mam mokre do kolan, bryzgi wody dookoła. Biorę udział w zapędzaniu około 40 koni na prerię. Jedziemy przez strone wznieśnienie, konie stają dęba, jest nas siedmiu jeźdźców. Po chwili jesteśmy na prawdziwej prairii, szalwia rośnie dookoła, lśnią błęskocia czaszki psów i koni, okolica paskana norami piesków preriowych, chcę wyć! Czuję, że śnię. Jestem na tyłach strazy wśród trzech indyjskich dzieciaków. Zachód słońca. Czuję się dziwnie, w 100% - nie, w 101% - jak porucznik Dunbar z "Tancerza z Wilkami". Znowu chce mi się płakać - to piękno tych Indian, doskonałość ich jazdy na koniu. Kiedy wracamy w galopie, trzymam się siodła, by nie wyśladować na gbie. Indianie natomiast bawią się świetnie. Później dowiaduję się, że jeżdżą od drugiego roku życia.

Rozsiadane konie wędrują do korralu. Ktoś pyta, jak mi się tu podoba. Tego uczucia nie da się oddać słowami. Pytam Kena, komu powinienem dziękować za to, że się tutaj znalazłem.

Mówi, że to Jackie postanowiła mnie tu przywieźć. Nagle przypominam sobie o bagażach. Okazuje się, że są bezpieczne - w domu Jackie, gdzie będę nocował. Po dziesięciu minutach jesteśmy na miejscu.

Sorry! Zapomniałem napisać, że podczas posiłku na niedalekiej asfaltowej drodze zobaczyłem zbliżającą się do nas od strony Kanady kolumnę samochodów. Na czele był pilot na światłach. K...a, przecież to BIEG! Widzę wyraźnie postać wyglądającą jak Marie Mockers ze staifem w dłoni, akurat na naszej wysokości odbywa się zmiana. I nagle coś ZABIJA mnie w środku. Bo czuję, że chcę pozostać w tym rezerwacie na zawsze. Czyżby ze względu na mnie Sacred Run rozpoczął się wcześniej z Edmonton, by skrócić moje oczekiwanie i zabrać mnie z rezerwatu? Po raz pierwszy nie cieszyłem się, że jestem częścią Świętego Biegu. Biegnę, by powiedzieć Dennisowi, że nie biegnę z nimi, że zostaję tu - i koniec. Za mną biegnie kupka dzieciaków, bo kolumny samochodów nie widzi się w rezerwacie na codzień. Ale nie widzę vani. Nie ma toyoty! Pewnie są z tyłu... Samochód na światłach to indyjska policja. Na pierwszym samochodzie widac szarę z napisem: "Peace and Dignity". Teraz wszystko zrozumiałem. Pisałem już kiedyś o tym Biegu z Alaski do Argentyny. Mijającego mnie biegacza pozdrawiam po indyjsku. Czuję, że to część mojej rodziny, nie ma żadnej konkurencji, to po prostu inny Bieg.

Rzeczywiście, w tym dniu wiele się wydarzyło. Dom Jackie Parsons jest wielki, meble współczesne, wideo, sprzęt stereo, kuchenka mikrofalowa, lodówki, telefon. Lecz wszystko jest wręcz prześycone indyjskim duchem: obrazy, obrusy, derki na ścianach, strzały, ceramika, grzechotki, karple. Pełno tego dookoła, nawet kubki z malowidłami wodzów. Dziękuję jej serdecznie za gościnę tego dnia, ofiarowując jej w prezencie moją wyszywaną torbę na paszport, latarkę, nóż, zapalki i inne "śmieszki" potrzebne na przetrwanie w lesie. Po prysznicu kładę się spać, śmiertelnie umordowany. Tuż przed snem myślę o tym całym pięknym dniu, od wschodu do zachodu słońca. Spać. Spać. Spać.

Po dwóch dniach dzwonię na Alaskę, rozmawiam z Alice i prawie czuję w jej głosie, jak leży jej się robi na sercu (bo przecież nikt nie wiedział, gdzie ja się podziwiam). Nie ma w Fairbanks mojej wizy, ale będziemy w kontakcie. Moją prawą obojczyk wciąż dokucza, nie mogę spać na tym boku, ale łokieć jest O.K. Nigdy nie zapomnę tego zwirowanego dnia jazdy na byku.

Jestem więc w rezerwacie Blackfeet w Montanie. I widzę prawdziwe życie i autentycznych ludzi o prawdziwym sercu. Takiej gościnności nie widziałem nigdzie i nigdy. Nie przesadzam nic a nic. Ostrzegają mnie tylko, bym nie pił na zewnątrz, bo rzeczywiście mogę się wtedy znaleźć w kłopotcie, ale poza tym to wspaniali i ciepłi ludzie. Pewna 11-letnia Indianka wciąż towarzyszy mi w nauce jazdy konnej bez siodła. Ma twarz taką samą, jak Buffy St. Marie! W ogóle to piękne dzieciaki, z serdecznością przynoszą mi cukierki, śliwki, papier. Chciałbym zostać tu dłużej, niż dwa miesiące. I ja chcę tu zostać!

Może następnym razem napiszę, jak tu jest, opiszę dzień codzienny, rezerwatową indyjskość i problemy. Na razie wiem zbyt mało, by pisać coś konkretnego. Nie pytam o nic, to oni sami mówią mi o sobie.

Cichy Mokasyn Jack

10.06.92, Browning, Montana,
Blackfeet Indian Reservation
(Do druku przygotował: Cien)

HURTOWNIA OBUWIA
KRZYSZTOFA MAZUROWSKIEGO
poleca
O B U W I E
dla każdego i na każdą okazję
KALISZ, ul. Kredytowa 1

Poznański Bieg Poparcia Na Rzecz Tubylczych Narodów Ameryki

Pomimo niezbyt dogodnego terminu i deszczowej pogody 27 kwietnia ponad 30 osób - w większości "niezrzeszonej" młodzieży z Wielkopolski i Śląska - wzięło udział w poznańskim Biegu na Rzecz Poparcia dla Narodów Tubylczych Ameryki. Bieg, oraz kończąca go manifestację pod Konsulatem USA w Poznaniu, zorganizował Krzysztof "Myszoł" Maczkowski z grupą przyjaciół, a organizacyjnego wsparcia udzieliły im: Katedra Etnologii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu oraz Polskie Stowarzyszenie Przyjaciół Indian.

Uczestnicy Biegu spotkali się w niedzielne popołudnie w Domu Kultury "Słońce", gdzie odbyli m.in. filozoficzno-konsumpcyjną dyskusję z wyznawcą Bhakti-Yogi i przedbiegową naradę organizacyjną. Tam też można było zaopatrzyć się w upamiętniające Bieg Poparcia i pięcsetlecie podboju Ameryki Koszulki oraz standardowe wyroby i pamiątki firmy "TIPI".

W poniedziałek rano specjalny autobus zawiózł uczestników i obserwatorów (opieka medyczna, obsługa wideo) Biegu do Muzeum im. Arkadego Fiedlera w Puszczykowie. Tam, w obecności gospodarzy

tego symbolicznego i zasłużonego dla polskiej indianistyki miejsca oraz poznańskiej TV i reportera "TAWACINU", odbyła się powitalna ceremonia Kręgu Oczyszczenia dymem świętych ziół Indian - tytoniu, szalwii i słodkiej trawy. Podczas ceremonii Krzysztof Maczkowski przedstawił związki Biegu Poparcia z Pięcsetleciem i ideą Świętych Biegów Indian, zaś Marek Kabał i Marek Nowocien nawiązali do złożonych źródeł i boskiej symboliki Biegu.

Po przekazaniu sobie wzajemnych pozdrowień uczestnicy Biegu wyruszyli spod pomnika Szalonego Konia na ponad 20-kilometrową trasę do granic miasta Poznania (wynik Kompromisu z Wydziałem Komunikacji i zabezpieczającą Biegaczy Policją, którzy nie wyrazili zgody na poprowadzenie trasy Biegu przez centrum miasta).

W trwającym w sumie blisko 2 godziny Biegu wzięli udział - nierzadko przekraczając granice własnych oczekiwań - wszyscy obecni, solidarnie przekazując sobie na trasie czterobarwną flagę, ozdobione piórami pałeczki oraz zawiniątki z okolicznościowymi pismami do prezydenta USA George'a Busha. Niewiele

osób, i jedynie na krótko, korzystając z możliwości odpoczynku w towarzyszącym Biegaczom autobusie lub "malucha".

W południe, po przejechaniu przez centrum miasta na poznańską Cygadellę, Biegacze odprawili wzorowaną na Indian-skiej obrzędowości dziewczynną ceremonię pod Dzwonem Pokoju, a następnie - przyciągając uwagę pieszych i kierowców - przebiegli pod Konsulat USA, gdzie oczekiwała już spora grupa miłośników Indian, pracowników i gości Konsulatu, dziennikarzy, policjantów i przechodniów (Bieg i manifestację zapowiadano w lokalnym radiu oraz na plakatach i ulotkach na mieście). Tam, po rundzie honorowej i utworzeniu kręgu przed wejściem, Krzysztof Maczkowski ponownie przedstawił - przez tubę - główne założenia Biegu i podziękował krótko jego współorganizatorom i uczestnikom.

Następnie odczytane zostały: List uczestników Biegu do prezydenta Busha z prośbą o "jak najszybsze rozwiązanie problemów Indian oraz Apeli PSPI do władz i obywateli Stanów Zjednoczonych o godne uczczenie pięciuset lat kontaktów z tubylczymi ludami Zachodniej Półkuli. Czteruosobowa delegacja uczestników Biegu wręczyła angielskie teksty obu dokumentów Konsulowi USA, czekającym... na schodach przed wejściem do placówki. Konsul w krótkim oświadczeniu wyraził samozadowolenie ze sposobu traktowania Indian w Stanach Zjednoczonych i obiecał przekazać pisma "odpowiednim władzom" oraz - sfotografował się z delegacją.

Przy wtórce ceremonialnego bębna i chorałnej indyjskiej pieśni delegacja opuszcza teren Konsulatu, a oficjalną część Biegu Poparcia zakończyli wywiady dla lokalnej prasy i radia (które już w godzinę później informowało w serwisie informacyjnym Biegu i manifestacji, cytując m.in. fragmenty Apelu PSPI). Osobom pytającym o działania przyjaciół Indian w Poznaniu i Kraju proponowano m.in. prenumeratę "TAWACINU", nawiązanie kontaktu z członkami Stowarzyszenia i udział w imprezach "indianistów".

Większość Biegaczy, po odświeżeniu się pod prysznicem i zregenerowaniu słońcem Kalendarz, wzięła udział w popołudniowym spotkaniu na Uniwersytecie.

Wobec nikłego zainteresowania studentów i pracowników naukowych, spotkanie poświęcono głównie komentarzom do filmu wideo, nakręconego na trasie Biegu oraz ogólniejszym refleksjom na temat tego niecodziennego wydarzenia.

Dzięki bezinteresownemu zaangażowaniu i solidarnemu, grupowemu wysiłkowi poznański Bieg Poparcia na Rzecz Narodów Tubylczych Ameryki stał się udaną kontynuacją tradycji zapoczątkowanej w Polsce Świętym Biegiem - Europa 1990 i podtrzymanej ubiegłorocznym "prologiem" do Biegu Eurazja '91-92 w Chodzieży. Jego zakończenie było też pierwszą - jeśli nie brać pod uwagę "przymiarki" pod Ambasadą Kanady w Warszawie przed dwoma laty - nieźle przygotowaną i sprawnie przeprowadzoną akcją "bezpśredniego nacisku" na placówkę dyplomatyczną, typową dla działalności grup poparcia Indian na Zachodzie. Doświadczenia z obu tych akcji mogą - i powinny - być wykorzystywane i wykorzystywane w przyszłości także przez szersze grono polskich przyjaciół Indian.

Marek Nowocien



Przemysław Graf



Polskie Stowarzyszenie Przyjaciół Indian

skr. poczt. 4, 15-472 BIAŁYSTOK 21
konto. PBK 1 0/Białystok 370496 6376 132

Poznań, 27 kwietnia 1992 roku

"W tradycjach, wierzeniach
i obyczajach Indian znajdują
się wskazówki dla przyszłości
ludzkości."

Vine Deloria Jr., Lakota

Szanowny Pan George H. W. Bush
Prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki
Biały Dom
1600 Pennsylvania Avenue, N.W.
Washington, D.C. 20500, U.S.A.
c/o Konsulat USA, Poznań, Polska

W imieniu członków i sympatyków Polskiego Stowarzyszenia Przyjaciół Indian (PAIFA) kierujemy do Pana, Panie Prezydencie, a za Pana pośrednictwem do rządu i wszystkich obywateli Stanów Zjednoczonych Ameryki, ten apel o godne uczczenie pięciuset lat europejskich kontaktów z tubylczymi ludami Zachodniej Półkuli.

Apelujemy o wzięcie pod uwagę wszystkich uczuć i opinii Tubylczych Amerykanów dotyczących tak często smutnych, bolesnych i wstydliwie skrywanych lub zapomnianych stron ich historycznych kontaktów z europejskimi najeźdźcami, jak również trudności w obecnym współżyciu z ich amerykańskimi potomkami.

Apelujemy o uznanie praw tubylczych ludów i narodów Ameryki do decydowania o własnym życiu politycznym, gospodarczym, społecznym i kulturalnym - w tym wszystkich praw potwierdzonych obowiązującymi traktatami międzynarodowymi i innymi historycznymi umowami, zawartymi między rządem Stanów Zjednoczonych Ameryki i Pierwszymi Amerykanami.

Apelujemy o uznanie oraz poszanowanie istniejących i nowopowstających krajowych i międzynarodowych praw, norm i konwencji dotyczących poszanowania podstawowych praw człowieka grup mniejszościowych, ludności tubylczej i jej środowiska - w tym prawa Leonarda Peltiera i innych tubylczych więźniów do sprawiedliwego procesu i humanitarnego traktowania.

Apelujemy o pełną, obiektywną i kompetentną informację o różnych aspektach dawnego i współczesnego życia tubylczych Amerykanów oraz o ich osiągnięciach i wkładzie w ogólnoludzką kulturę i cywilizację, która winna być dostępna za pośrednictwem odpowiednich instytucji rządowych, placówek dyplomatycznych oraz bezpośrednio od tubylczych przedstawicieli i w ich publikacjach.

Prezydent Bush wydaje proklamację: 1992 - Rokiem Amerykańskich Indian

Prezydent USA George Bush wydał 2 marca 1992 roku następującą proklamację ogłaszającą rok 1992 Rokiem Amerykańskich Indian:

Pięćset lat temu, gdy Europejcy poszukiwacze zdumiewali swoich rodaków opowieściami z Nowego Świata, opisywane przez nich ziemie były od dawna ojczyzną Tubylczych Narodów Ameryki. W północno-wschodniej części tego kraju oraz wzdłuż Północno-Zachodniego Wybrzeża plemiona zajmowały się rybołówstwem i łowiectwem. Inne uprawiały bogate ziemie Południowego Wschodu i Wielkich Równin, a plemiona nomadów wędrowały przez Wielką Kotlinę. Na jałowym Południowo-Zachodzie tubylcze ludy nawadniały pustynię, uprawiając ziemię na miarę swoich możliwości. Każde plemię kształtowało rozwijające się społeczeństwo z własnymi obyczajami, tradycjami i systemami nakazów społecznych.

Udziały, jakie Tubylczy Amerykanie wnieśli do naszej narodowej historii i kultury są tak liczne i różnorodne, jak same plemiona. Po latach dodały one do starożytnego bogactwa sztuki i folkloru ogromny spadek zasług i osiągnięć. Dziś przypominamy z wdzięcznością Rodzimych Amerykanów, którzy pomogli pierwszym europejskim osadnikom przetrwać w dziwnym nowym kraju; składamy hołd nawajskim radiotelegrafistom z II wojny światowej i wszystkim tym Tubylczym Amerykanom, którzy wyróżnili się w służbie dla naszego kraju. Pamiętamy tanych mężczyzn i kobiety indiańskiego pochodzenia - jak wielkiego lekkoatletę Jima Thorpe'a i naszego trzydziestego pierwszego wiceprezenta Charlesa Curtisa - którzy wpoili dumę innym, sięgając szczytów własnej możliwości w różnych dziedzinach. Uznajemy również, ze szczególnym podziwem i wdzięcznością, inny trwały spadek Tubylczych Amerykanów - bliską więź z ziemią i przykładowe zarządzanie jej naturalnymi bogactwami. Właściwie, w każdej sferze naszego narodowego życia udział tubylczych mieszkańców Ameryki i ich potomków trwa nadal.

W 1992 roku uczcimy tubylcze narody tego kraju jako istotnych uczestników historii Stanów Zjednoczonych. Rok ten daje nam okazję do uznania szczególnego miejsca, które Tubylczy Amerykanie zajmują w naszym społeczeństwie, potwierdzenia prawa indiańskich plemion do życia jako suwerenne jednostki i stworzenia lepszego obustronnego zrozumienia i zaufania. Dlatego też, z wdzięcznością pozdrawiamy wszystkich amerykańskich Indian, wyrażając nasze poparcie dla plemiennego samookreślenia i ochrony każdego unikalnego plemiennego dziedzictwa.

Kongres USA, ustawą 102-188 proklamował "Rok Amerykańskich Indian", upamiętniając i prosząc Prezydenta o wydanie proklamacji o tegorocznych obchodach. Zatem teraz ja, George Bush, Prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki, proklamuję niniejszym dokumentem rok 1992 Rokiem Amerykańskich Indian. Zachęcam rządy: federalny, stanowe i lokalne oraz zainteresowane grupy, organizacje i obywatele Stanów Zjednoczonych do obchodzenia tego Roku odpowiednimi programami, ceremoniami i działaniami.

Na dowód tego składam na niniejszym akcie podpis, drugiego marca roku Pańskiego tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego, dwieście szesnastego roku niepodległości Stanów Zjednoczonych Ameryki.

(podpisano) GEORGE BUSH

Tłum. Tomasz Juskiewicz

TAWACIN Nr 2(19) WIOSNA-LATO 1992

41

Roman Bala

SYMBOLICZNE ODKRYCIE EUROPY

Obecny rok jest bardzo bogaty w wydarzenia związane z 500 rocznicą przybycia Kolumba do Ameryki. Wielu ludzi na całym świecie wyraża w jakiś sposób swój stosunek do tego faktu. Podczas pobytu w Holandii miałem okazję zorientować się, co robią tamtejsi ludzie uważający moment przybycia Kolumba do Ameryki za początek kolonizacji i wyzysku tubylczych ludów tego kontynentu.

Począwszy od 16 maja ma miejsce wiele imprez organizowanych na terenie całego kraju przez różne grupy i organizacje. Imprezy te mają charakter informacyjny, kulturalny i demonstracyjny. W większości z nich biorą udział zaproszeni przedstawiciele ludów tubylczych obu Ameryk, Azji, Afryki, Australii i Oceanii. Organizowane są konferencje, wykłady, wystawy, prezentacje filmowe, teatralne, poetyckie i muzyczne, podczas których rdzenni mieszkańcy różnych części świata mają okazję zaprezentować swoją kulturę, poinformować o sytuacji w jakiej się znajdują oraz odpowiadać na pytania publiczności. Demonstracje o charakterze zebrań przed budynkami rządowymi i ambasadami oraz pochody uliczne mają za zadanie zwrócić uwagę ogółu społeczeństwa na problemy ludów tubylczych całego świata.

Miałem okazję uczestniczyć w dwóch imprezach z tego cyklu, które miały miejsce 24 maja w Rotterdamie. Mój udział w jednej z nich był przypadkowy; idąc z dworca kolejowego w kierunku teatru, gdzie miała się odbyć impreza organizowana przez NANAI (Holenderska Grupa Robocza na rzecz Indian Ameryki Północnej) zauważyłem nagle dwóch osobników w egzotycznych strojach, z których wywnioskowałem, że mogą to być Indianie z Ameryki Łacińskiej (później okazało się, że są to Indianie z Surinamu). Po przejściu kilku kroków zobaczyłem po drugiej stronie ulicy dużą grupę ludzi w zwracających uwagę ubiorach, trzymających transparenty i wykrzykujących ja-

kies słowa. Usłyszałem również dźwięki bębnow i innych instrumentów muzycznych. Zaintrygowany skierowałem się w ich kierunku. Była to manifestacja przed Ratuszem Miejskim, zorganizowana przez grupę Ongehord (Jeden Świat). Brali w niej udział Holendrzy z różnych organizacji, delegaci ludów tubylczych obu Ameryk, Australii, Nowej Zelandii, kilku Afrykańczyków oraz przypadkowi, jak ja, przechodnie.

Transparenty, ulotki informacyjne, muzyka, prowadzący z megafonem w ręku, miniatura wozu konnego ciągniętego przez dwóch ludzi, na którym siedziało dwóch innych bijących w bębny – to atrybuty tej grupy. Przyłączyłem się. Po pewnym czasie uformowano pochód z dwoma policjantami na koniach i jednym na rowerze (podstawowy środek lokomocji w Holandii) na czele, który ruszył w kierunku jednego z kanałów łączących miasto z portem (cała Holandia pokryta jest siecią takich kanałów). Wykrzykiwano różne hasła w języku holenderskim, angielskim i hiszpańskim, a naczelnym z nich było: "Symboliczne Odkrycie Europy".

Wszystko odbywało się w luźnej atmosferze. W czasie przemarszu ulicami miasta poznałem młodą dziewczynę z grupy organizacyjnej o imieniu Norczy, która przez dwie godziny była moją przewodniczką, informatorką i tłumaczką (dank u wel Norczy). Po dotarciu na miejsce zaproszeni goście udali się łodziami motorową na wycieczkę.

W tym momencie zdecydowałem się zakończyć swój udział w tej imprezie i udałem się do teatru na program przygotowany przez NANAI. Była to impreza dla szerokiej publiczności: wystawa fotografii, pokazująca dawne i współczesne życie Indian Ameryki Północnej, wystawa biżuterii (głównie turkusy Hopliów i srebro Nawahów) oraz innych elementów kultury materialnej, stragany z książkami, plakatami, kasetami, płytami, wyrobami indiańskimi oraz nieodczuwany bar, w którym można było się pożywić i ugasić pragnienie. Funkcjonowało również biuro informacyjne udzielające informacji o działalności NANAI, dysponujące ulotkami i biuletynami informacyjnymi.

Z powodu jednogodzinnego spóźnienia się nie uczestniczyłem w pierwszym punkcie programu – wystąpieniu Indianki Lakota Phyllis Young, mieszkającej od kilku lat w Holandii. Następnie głos zabrali

Mohawkowie. Rozpoczął Don Martin, który akompaniując sobie na gitarze i zastępując różnymi sposobami inne instrumenty zaśpiewał skomponowane przez siebie piosenki, nawiązujące treścią do tradycyjnej kultury Mohawków, ze świeżo wydanej płyty kompaktowej "So... this is America".

Po tym krótkim koncercie, siedząc z boku, świetnie parodiował występ swego brata (przedstawił się indieniem w języku Mohawków, którego nie zapamiętałem), który mówił o ważnych sprawach dotyczących życia Mohawków, objaśniając też rolę Stałej Delegatury Narodu Mohawków władze (Mohawk Nation Permanent Delegation). Oto streszczenie jego wystąpienia:

* po wydarzeniach na terytorium Kahnawake w 1990 r. Mohawkowie z tego terenu decydują się utworzyć swoje biuro w Hadze. Ma to być próba wyjścia z cienia historii, w którym znajdowali się przez ostatnie 500 lat, nie mając wpływu na wydarzenia ich dotyczące i decyzje podejmowane bez ich udziału. Decyzję wysłania dwóch przedstawicieli podejmują zgodnie Długi Dom (Longhouse) – tradycyjna Rada Mohawków oraz obieralna Rada Mohawków Kahnawake (Mohawk Council of Kahnawake).

* w wyniku zdarzających się nieporozumień ich przedstawicielstwo uważane jest czasami za rodzaj Ambasady (Embassy). Wyjaśnia, że nie jest to właściwe słowo, ponieważ rząd holenderski nie uznaje ich suwerenności, a jedynie honoruje ich irokeskie paszporty. Najlepszym więc określeniem będzie słowo Biuro (Office), a oni nie są ambasadorami, tylko Rzecznikami (Spokespersons).

* członkowie Biura są przedstawicielami i wypowiadają się TYLKO i WYŁĄCZNIE (dobitne podkreślenie) w imieniu społeczności z Terytorium Kahnawake, a więc nie reprezentują ani Kanesatake, ani Akwesasne, ani pozostałych plemion Konfederacji Irokezów, ani innych narodów indiańskich – chyba, że zostaną o to wyraźnie poproszeni, a takie przypadki już bywały.

* po przybyciu do Hagi pierwsze kroki skierowali do Parlamentu Europejskiego. Ich uwaga skierowana jest głównie na państwa EWG. Odpowiedzieli już wszystkie kraje członkowskie, z wyjątkiem skandynawskich. Z rządem kanadyjskim są oficjalnie w stanie konfliktu, a każda ze

stron pozostaje przy swoim zdaniu.

* wyjaśnia znaczenie słów "wódz wojenny" (war chief) oraz "wojownicy" (warriors) w związku z negatywnym znaczeniem nadawanym im czasami przez środki masowego przekazu. Rolą wojownika w czasie wojny jest walka, natomiast w czasie pokoju pilnowanie porządku w племенiu. * przerywając swoje wystąpienie, proponuje uczcić minutą ciszy pamięć niedawnego zmarłego na atak serca jego przyjaciela i wojownika o sprawy tubylczych narodów Ameryki, rdzennego mieszkańca Hawajów, Kawaipury Prejeana.

* przybyli tutaj przekazywać swoją wiedzę, a zarazem sami się uczyć. Przez ostatnie 500 lat byli tylko ekspozatami w muzeum. Wydobyli się z niego, stali się z powrotem ludźmi i zaczęli mówić swoim własnym głosem. Ich zadaniem jest walka o przetrwanie, walka o zachowanie własnej kultury, języka, szkół. Chcą wysłać do Europy młodych ludzi na różne kierunki studiów, głównie jednak na prawo międzynarodowe.

* stosunki Biura z Ambasadą Kanady w Hadze ilustruje porównanie do dwóch ludzi płynących rzeką. Jeśli załoga jednej łodzi zaprasza na pokład załogę drugiej, to ta przychodzi w gości, a nie dyktuje gospodarzowi, co ma robić w swoim domu i odwrotnie.

Kolejnym punktem programu miał być taniec pow-wow irokeskiej młodzieży, ale ponieważ było zbyt mało miejsca, wszystko ograniczyło się do pokazania kilku przedmiotów i wyjaśnienia ich roli w życiu Indianina. Były to m.in.: pióropusz, fajka, mokasyny i bębny. Na koniec jedna z dziewczynek, naciskana przez swoją matkę, zaśpiewała piosenkę w języku lakota, ale – wystraszona – popłakała się i, nie dokończywszy, wyłądownała w ramionach matki.

Ostatnim punktem programu było wystąpienie Indian z Surinamu, którzy opowiedzieli o sytuacji ludności tubylczej w tym kraju. Ponieważ jednak odbywało się to w języku holenderskim, którego nie zdążyłem jeszcze poznać, więc opuściłem salę i udałem się w drogę powrotną.

Udział w tych wydarzeniach uświadomił mi, w jaki sposób niewielkim nakładem środków i pracy, można zorganizować niezłą imprezę. Oczywiście, pod warunkiem, że ma się do dyspozycji Indian.

Roman Bala

Muzyka jest bardzo ważnym elementem w życiu Indian. Całe ich życie, od urodzenia aż do śmierci, przeniknięte było tańcem, a bęben był instrumentem przewodnim we wszystkim.

Właściwa gra na bębnie jest niezbędna w indiańskich tańcach. Rytm zawsze nadaje grający na bębnie. W każdym tańcu wybijanie rytmu musi być zsynchronizowane z tańczącymi. Grający powinien właściwie bez przerwy patrzeć na stopy tańczących i wybić stały równy rytm.

Jeśli grających na bębnie jest dwóch lub więcej, bardzo ważne jest, by wybijali rytm równo i jednocześnie. Aby uniknąć problemów z tym związanych, jeden z nich zawsze pełni rolę lidera (prowadzącego), podczas gdy pozostali muszą mu się całkowicie podporządkować. Mierówna gra na bębnach przeszkadza zarówno tańczącym, jak i słuchającym. Przy zmianie taktu lub rytmu grający daje tancerzom, a w przypadku lidera – także pozostałym grającym, odpowiedni sygnał.

Szybkość rytmu w tańcu dostosowuje się przeważnie do tych, którzy tańczą powoli. Ci, którzy tańczą szybko zawsze mogą tańczyć wolno, lecz bardzo trudno jest tańczyć szybko tancerzom niezbyt jeszcze wprawnym. Gdy zdarza się taniec o szybkim rytmie, to wolno tańczący zazwyczaj stają z boku, utrzymując tylko rytm i robiąc miejsce dla tancerzy szybkich. W ten sposób młodzi, niewprawni jeszcze tancerze nie są całkowicie wykluczeni, a i efektywność tańca na tym nie traci.



Istnieją trzy rodzaje bębnów: małe ręczne bębenki z membraną po jednej stronie; większych rozmiarów dwustronne bębny robione z wydrążonej kłody lub beczułki i jednostronne bębny wodne.

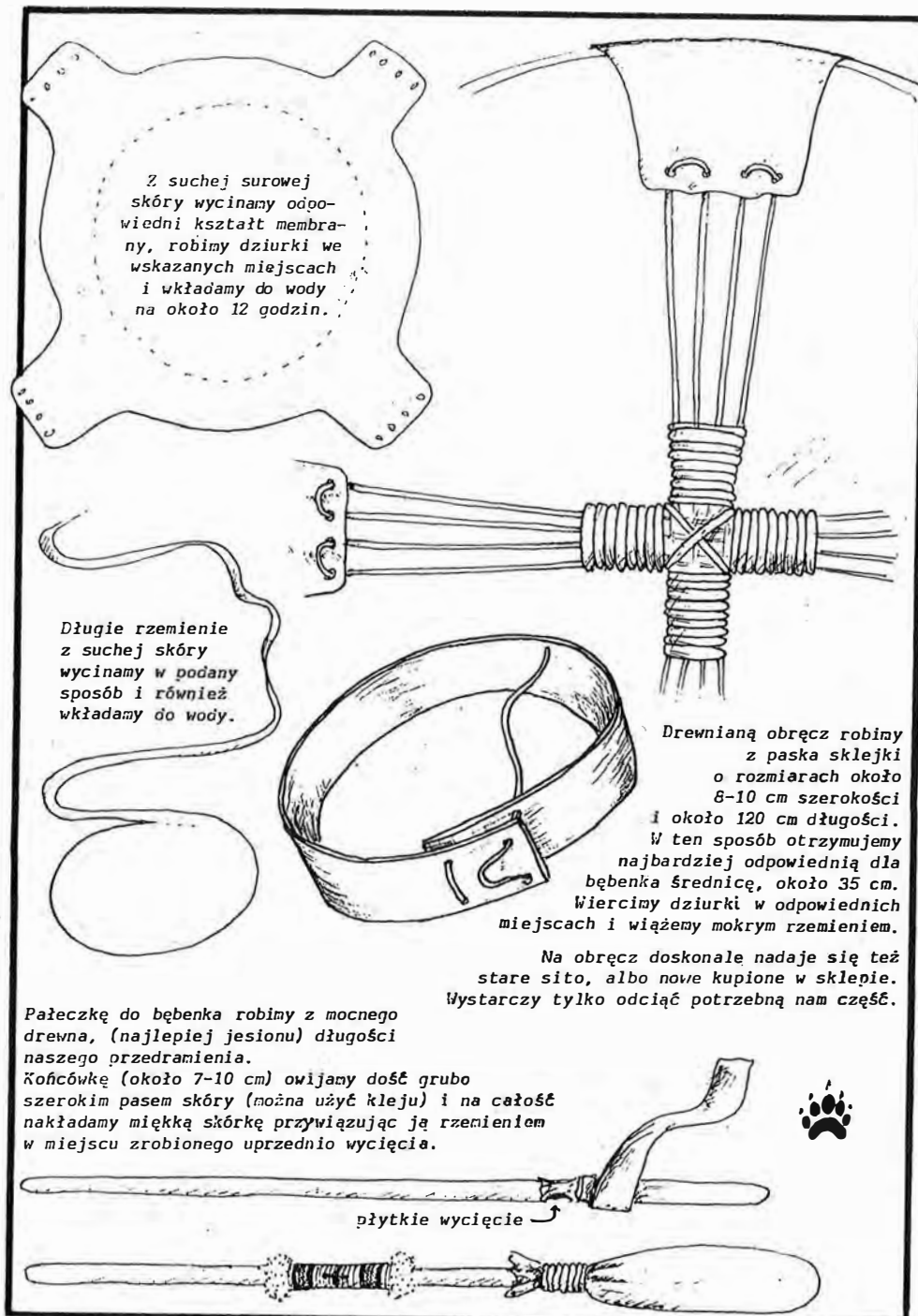
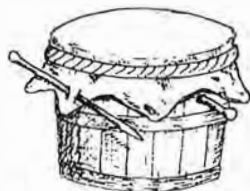
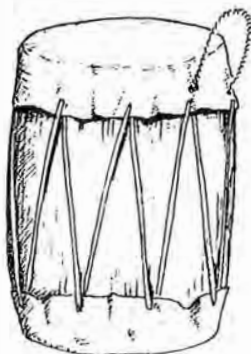
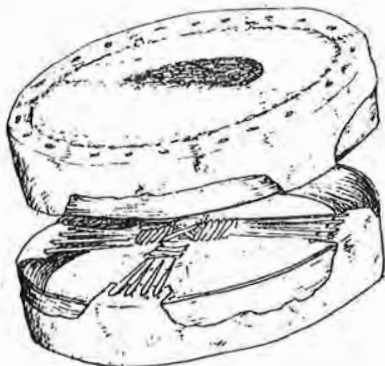
Na membrany stosuje się przeważnie niegarbowane cielęce lub jelenie skóry. Moczy się je około 12 godzin i mokre nakłada na drewnianą obręcz mocno ściskając również mokrymi rzemieniami.

Niektóre bębny są pięknie dekorowane, maluje się symbole i wzory mające religijne lub ochronne znaczenie.

Indianie amerykańscy nigdy nie grali na bębnie palcami czy rękoma – jest to styl afrykański. Do tego celu zawsze używali pałeczek.



BĘBNY





Refleksje malkontenta

Mineły już dwa lata jak utworzyliśmy Polskie Stowarzyszenie Przyjaciół Indian, czas więc na garść refleksji o tym, co było i co nas czeka w przyszłości.

Mamy niezaprzeczone osiągnięcia, takie jak: zorganizowanie "Świętego Biegu" w 1990 r., widoczny udział w kilku międzynarodowych konferencjach, nasi ludzie wzięli udział w biegach na terenie USA i Kanady, w byłym ZSRR i oczywiście w Polsce. W planach na ten rok mamy wyjazd za ocean, bieg azjatycki, konferencja we Włoszech, liczne wystawy, spotkania, obozy szkoleniowe, odczyty itp. itd. Mamy wreszcie własne pismo TAWACIN, które z miernej gazetki przerodziło się w profesjonalny magazyn, jedyny tego pokroju w Polsce i jeden z lepszych w Europie (gdymy wszyscy wiedzieli w jakich warunkach technicznych pracuje redakcja i co robi, żeby zdążyć na czas z drukiem) i - co najważniejsze - mamy pewien potencjał ludzki, i o nim tutaj chcę głównie napisać.

Prawdę mówiąc, patrzę z ogromnym niepokojem w przyszłość naszego Stowarzyszenia, na owych młodych ludzi, którzy stanowią w nim większość. Czy sprostają zadaniu, którego się podjęli? Czy starczy im sił, a przede wszystkim chęci do pracy i działania na rzecz Indian?

W ciągu dwóch lat istnienia Stowarzyszenia otrzymaliśmy listy od ponad setki osób w różnym stopniu zainteresowanych Indianami, zwłaszcza tymi z USA i Kanady, mniej z Ameryki Południowej. Statystycznie rzecz ujmując pisze do nas zwykle dziewczyna w wieku 17-19 lat, z miasta, która jest po lekturze książek Maya, Coopera, Wernica czy też Fiedlerów, która - co jest cechą znamionną - bardzo chce należeć do Polskiego Stowarzyszenia Przyjaciół Indian, zwykle bez żadnego uzasadnienia. Listy te budzą mój niepokój co do intencji piszących i pobudek, którymi się kierują prosząc o przyjęcie w poczet członków naszej organizacji. Marcowe spotkanie w Sierakowie b. roku potwierdziło moje obawy.

Wzięła w nim udział tylko znikoma część spośród tych osób, które zadeklarowały wstąpienie do PSPI, co wyszło tylko na dobre nam wszystkim, ale o tym niżej.

Z kandydatami przeprowadzono rozmowę kwalifikacyjną, byłem jednak przeciwny metodzie, którą zastosował Zarząd Główny, tj. grupowej rozmowie, a nie z każdą z osób indywidualnie, jak sugerowałem. Wyniki tych rozmów tylko potwierdziły moje przypuszczenia. O swoich zainteresowaniach Indianami, o tym, dlaczego chcą wstąpić do Stowarzyszenia wszyscy mówili w zasadzie to samo, jednym słowem wg schematu utraconego po wypowiedzi pierwszej osoby.

Sięgając pamięcią wstecz stwierdzam, że takiego zapału i chęci do pracy jakie mieliśmy w końcu lat 70. i na początku 80. już nie będziemy mieli. Czy pamiętacie (to pytanie do trzydziesto-latków) te kilogramy maszynopisów, materiałów, które krążyły wśród nas, tłumaczenia z indiańskich gazet, listów, te petycje w obronie więźniów indiańskich, przeciwko ustawom antyindiańskim itp. itd.? Czy pamiętacie dramatyczny sztumski zlot w stanie wojennym? Czy pamiętacie nasze rozmowy z młodymi, nowymi ludźmi, kiedy to do każdej osoby podchodziło się indywidualnie szanując jej osobowość, wiek, wiedzę, te rozmowy, które trwały do wczesnych godzin rannych? Nigdy tego nie zapomnę, bo to jest częścią mnie samego, mego dojrzewania, stawania się. Teraz młodzi ludzie już nie mają takiego zapału do pracy na rzecz innych, pracy dla Indian, a w końcu przeciw dla samego siebie. W większości tylko czekają na to, żeby do nich przyszło, poopowiadać, dać gotową strawę, nakarmić...

Co można sądzić o młodych kilkunastoletnich członkach naszego Stowarzyszenia, którzy nie znają podstawowej literatury dotyczącej Indian, ba nawet nie wiedzą gdzie jej szukać? (...)

Martwię się o przyszłość naszego Stowarzyszenia, kto dalej będzie jemu przewodził, kiedy my - weterani nie będziemy mieli już sił i zdrowia. A może się mylę, może rzeczywiście jestem niepoprawnym malkontentem? Co o tym wszystkim sądzicie?

Man-tay-o

(Nazwisko i adres znane redakcji)



Nazywam się Małgorzata Tomczyk, mam 18 lat i mieszkam w Łodzi. O istnieniu Towarzystwa Przyjaciół Indian dowiedziałam się zupełnie przypadkowo, w księgarni - której nigdy nie zapomnę - zauważyłam przyciągający wzrok napis "Tawacin", a zaraz poniżej słowa "Pismo Przyjaciół Indian".(...)

W tej chwili radości smutne były tylko dwie rzeczy, informacja, że jest to już 17 numer (a ja dotychczas na oczy nie widziałam ani jednego) oraz obojętne wzruszenie ramion pani sprzedającej książki, podparte druzgocącymi słowami, że ona nie ma pojęcia co to za gazeta, i że nie słyszała o tym by wcześniejsze numery pojawiały się w jej, jak i w okolicznych księgarniach. "Łódź jest chyba na końcu świata" - pomyślałam, no ale wreszcie, po upływie tylu miesięcy coś dotarło i tu, za co bardzo dziękuję.

Od dziecka interesuję się wszystkim co związane z Indianami obu Ameryk, zatraciłam się w świecie orlich piór, ducha Gór Czarnych i kulturze Azteków.

Poza tym moją prawdziwą pasją jest wszystko to co dotyczy historii Ameryki Północnej, nie wyłączając budowy kolei żelaznej czy opowieści o Billy the Kid. Nie będę ukrywać, że swojego czasu przechodziłam przez etap miłości ku Winnetou, zauroczenia Karolem Mayem. Jednakże każdy naprawdę bardzo młody wielbiciel i pasjonat tematu musi pokonać wszystkie stopnie wtajemniczenia, wiele z nich mam już za sobą, ale zdaję sobie z tego sprawę, że znaczna ich ilość jeszcze przede mną. (...)

Dojrzewałam, rozwijałam się, poznawałam dzieła indiańskich pisarzy, dziś patrzę na te sprawy poważnie, z uwagą i zrozumieniem czytam "Indian Stanów Zjednoczonych" Pani Nowickiej i Rusinowej, analizuję problemy wczorajsze i dzisiejsze społeczności indiańskiej.

Interesuję się Indianami głównie od strony ich dziejów, historii, spróbowałam nawet dać i coś z siebie, wzięłam udział w konkursie zorganizowanym z okazji 500-lecia odkrycia Ameryki, napisałam pracę na temat "Indianie i Murzyni Ameryki Północnej". Czuję satysfakcję i zadowolenie z tego iż zdecydowałam się podjąć ów krok, krok w kierunku wszystkiego co indiańskie.

Małgorzata Tomczyk, Łódź

Pozwól, że podzielę się z Tobą uwagami i spostrzeżeniami, jakie nasunęły mi się już w trakcie czytania TAWACINU.

Prawdę pisząc, mam tylko jedną uwagę: jak na mój gust TAWACIN mógłby być grubszy. Wiesz, jakie to przykre zobaczyć, że nie ma strony 53 i dalszych?

Koniec uwag.

Monika Konieczna, Kraków



Dzisiaj otrzymałam przesyłkę zawierającą trzy numery TAWACINU, których mówiąc szczerze, nie spodziewałam się tak szybko dostać.

Teraz - chwila szczerości. Wszystko, co zamawiam, tzn. TAWACIN oraz pozostałe zeszyty z "Biblioteki Tawacinu", zamawiam przede wszystkim dla mojego męża. Takie przynajmniej było moje zamierzenie.

Jeszcze do niedawna sądziłam, że kulturą Indian interesują się tylko dzieci; nie przypuszczałam, że można w tym znaleźć coś poważnego i wartościowego. Mój osąd spowodowany był po prostu niewiedzą. Teraz pod wrażeniem fascynacji Artura (mojego męża) kulturą indiańską, jego opowieści na temat życia i myślenia Indian, widzę jak bardzo się myliłam, jak mało wiedziałam.

Teraz, dzięki kontaktowi z TAWACINEM mam nadzieję poszerzyć swoją wiedzę, zrozumieć rzeczy, które do tej pory były dla mnie obce. Cieszę się ogromnie, że udało mi się was znaleźć. Ucieszy się również Artur i myślę, że będzie waszym stałym czytelnikiem. Skorzysta też z waszych rad dotyczących indiańskiej sztuki dekoracyjnej, gdyż ostatnio każdą wolną chwilę poświęca wyszywaniu koralikami różnych wzorów na skórę. Efekty są naprawdę zaskakujące. Wykonał łuki i strzały, fajki, a na to wszystko pięknie 'haftowane' koralikami pokrowce. Wiem, że sprawię mu ogromną radość wręczając otrzymane pisma i książki.

Ewa, Niemcy



Na budce telefonicznej zauważyłam naklejkę z nadrukiem TAWACIN: Pismo Przyjaciół Indian.

Nie rozpisując się jak przystało na Indianina proszę o informacje

Stanisław Iwańczuk, Katowice

Indiański Dzień Dziecka w Turku

Jeśli ktokolwiek wątpił, czy hasło "Indianie - Dzieciom" może przyciągnąć wielotysięczną publiczność - to miał okazję przekonać się o tym 31 maja w Turku, gdzie na zorganizowany z okazji Dnia Dziecka festyn przybyło ponad 5000 osób - dzieci, młodzieży i rodziców.

Tę największą bodaj (obok pamiętnego występu uczestników Świętego Biegu - Europa '90 na warszawskim Torwarze) indiańską imprezę w Polsce poprzedził tydzień spotkań z Indianami i ich przyjaciółmi. Do Turku przyjechali m.in.: znany pisarz i popularyzator kultury Indian Ameryki Północnej, Sat-Okh oraz mieszkający w Polsce panamski malarz z plemienia Kuna, Amancio Wago Chiari. Prelekcje dla młodzieży wygłosili także członkowie PSPi: Marek Maciolek - o indiańskiej poezji i literaturze, Andrzej Rutkowski - o stosunku Indian do Natury i Marek Nowocień - o współczesnych tubylcach Ameryki.

W Bibliotece Miejskiej otwarto wystawę publikacji o tematyce indiańskiej, zaś w miejskim Domu Kultury - wystawę obrazów Amancia Chiari oraz wyrobów rzemiosła Indian Kuna (był też pokaz slajdów).

Podczas niedzielnego festynu śpiew, muzykę i tańce Indian zaprezentowali publiczności: Sat-Okh i dwóch tancerzy ze Sztumu, młoda grupa folklorystyczna "Hokka-hey" z Białegostoku, Amancio Chiari z partnerką oraz grająca muzykę andyjską popularna grupa "Kurakas".

Przed festynem przybyła licznie do Turku młodzież z Polskiego Ruchu Przyjaciół Indian rozbiła 6 tipi, zaś podczas występów na stadionie organizowane były indiańskie gry i zabawy z nagrodami dla dzieci (strzelanie z łuku, rzuty na róg, gra w kosci, biegi, tańce, itp.).

W niespotykanej dotąd ilości zgromadzono na straganie książki i czasopisma o Indianach, kasety z muzyką, obrazy, plakaty, nalepki, pamiątkowe koszulki, koralikowe ozdoby i najrozmaitsze wyroby "indiańskie" z ceramiki, drewna i skóry.

Inicjatorem i motorem tego udanego przedsięwzięcia był znany nie tylko w Turku miłośnik Indian, Zdzisław Ranores Wszolek, zaś głównymi organizatorami: PSPi, Muzeum Rzemiosła Tkackiego, Biblioteka Miejska, Miejski Dom Kultury, TKKF "Tęcza", Koło PAX oraz Kluby Krwiodawców z Turku. Wszystkim - dziękujemy!

Każdy, kto odwiedził Turku w dniach, kiedy stadion w tym mieście przeżywał istny nawał ludzi, ma niezapomniane wspomnienia. I te smutne, i te weselsze, ale przecież zawsze powinny liczyć się te drugie. Nigdy nie zapomnę tych dwóch nocy przy ognisku i ich przecudownej atmosfery. Taka impreza to na pewno coś innego, niż zlot, może nawet coś więcej. Bo w Turku czerpało się coś dla siebie, dając zarazem coś innym. Chociaż były nerwy, strach, że się nie uda, że ten i tamten zawiódł, to jednak wszystko się udało. I to jak się udało!

Serdecznie dziękuję wszystkim organizatorom, a zwłaszcza Ranoresowi, który był bliski wyczerpania nerwowego, a jednak obiecał, że w przyszłym roku zrobi być może Indiański Dzień Matki.

Myszę, że wdzięczność i zadowolenie odczuwają także wszystkie dzieciaki, które koniecznie chciały zrobić z siebie tarcze przy strzelaniu z łuku, ale dzięki Sylkowi nie doszło do żadnej tragedii.

Chciałabym, żebyśmy jeszcze nie raz mogli się spotkać w tej sympatycznej miejscinie na kolejnych wystawach, Dniach Dziecka i podobnych świętach, których w kalendarzu nie brak. Do następnego razu!

Aga

Polskie Stowarzyszenie Przyjaciół Indian i Ruch Przyjaciół Indian współorganizowały w Turku "Indiański Dzień Dziecka". W tygodniu poprzedzającym festyn członkowie PSPi odbyli szereg spotkań i prelekcji w szkołach, przedszkolach i domach dziecka w Turku i okolicy.

Miejscowi organizatorzy uprzejmie proszą indiańskich uczestników imprez o przyjęcie najserdeczniejszych podziękowań. Podziękowania nasze kierujemy przede wszystkim do SAT-OKHA, towarzyszących mu tancerzy, do Amancia Chiari, Zarządu i Członków PSPi, zespołów "HOKKA-HEY" i "KURAKAS", a także do wszystkich z Ruchu Przyjaciół Indian, którzy przybyli i przyczynili się do uatrakcyjnienia Dnia Dziecka w Turku. O przyjęcie specjalnych podziękowań prosimy Z. Ranoresa Wszoleka.

Z przyjemnością informujemy również, że obecność Indian i ich sympatyków w naszym mieście przyczyniła się do wyłonienia grupy miejscowej młodzieży, która pod opieką Ranoresa zamierza włączyć się aktywnie w prace Ruchu i PSPi.

Organizatorzy z Turku

Nieznane oblicze Ameryki

W związku z obchodami 500-lecia odkrycia Ameryki przez Krzysztofa Kolumba w muzeum archeologicznym w Poznaniu została zorganizowana wystawa. Skromne zbiory polskich muzeów uniemożliwiają szeroką i bogatą prezentację tych tematów, ale i te zbiory, którymi dysponują pozwalają w pewnym zakresie na nieco bliższe poznanie świata Ameryki Indiańskiej i na refleksję nad konsekwencjami odkrycia Kolumba.

Wystawę otwierała najstarsza broń myśliwska, np. kamienne ostrza strzał i oszczepów z okresu archaicznego (5600 p.n.e. - 1000 n.e.). W drugiej sali muzeum eksponowane były wyroby z okresu poklasycznego (500 n.e. - 1521). Można było tu zobaczyć: talerze, naczyńia Indian Pueblo, paciorki z kamieni i nefrytu. Fascynowały azteckie kamienne rzeźby bóstw. Ekspozycję uzupełniały umieszczone na ścianach fotografie przedstawiające: świątynie Majów, rekonstrukcje wielkiej świątyni Azteków i okręgi Majów w Palenque.

Wystawa była bardzo skromna, lecz dość pieczołowicie przygotowana.

Miś

Weekend z Indianami

W dniach 8 i 9 sierpnia br. w Kaliszu na terenie basenu "Holiday Land" odbyła się impreza zatytułowana "Weekend z Indianami - 500 lat walki o przetrwanie". Obok stałego punktu programu (kąpiel) pojawiła się mini wioska indiańska składająca się z trzech tipi, w której o swoim pochodzeniu i innych ciekawych przygotowach ze swego życia opowiadał Sat-Okh (Stanisław Supłatowicz). Jego opowieść przeplatana była tańcami w wykonaniu Jarka i Leona ze Sztumu oraz Piotra (Mościca Pani) z Pabianic i Niedźwiedzia z Poznania. Występ zespołu "Hokka Hey" nie doszedł do skutku ze względu na ślub jednego z członków zespołu.

Najmłodsi kaliszanie mogli postrzelać z łuku i walczyć na worki. Nagród jak zwykle było za mało. Bawiono się doskonale. Znalazło się też miejsce na stoisko z indiańskimi pamiątkami i literaturą.

Fantastyczną atrakcją przy tak wielkim, tego dnia, upale była jednak 50

metrowa zjeżdżalnia wodna, gdzie "Indianie" spędzali najwięcej czasu, a zjazdy niektórzy czuli bardzo, bardzo długo.

Wieczorem przy dużym ognisku w wiosce indiańskiej można było dowiedzieć się ciekawych rzeczy o współczesnych Indianach, o których opowiadali Sat-Okh i Amancio Chiari, a także najęść się tradycyjnej "indiańskiej" kiełbasy na patyku.

Nie zabrakło też muzyki andyjskiej w wykonaniu boliwijskiego zespołu "Inti Nan".

Organizatorem "Weekendu z Indianami" był Marek Cichomski, a sponsorami: Hurtownia Obuwia Krzysztofa Mazurowskiego oraz spółka "Holiday Land".

Miś

Polskie Stowarzyszenie Przyjaciół Indian organizuje:

1. W drugiej połowie września br. w Muzeum Niepodległości w Warszawie planowane jest otwarcie wystawy pt. "Ameryka Indiańska - Ameryka Nieznana. 500 lat oporu." Ekspozycja obejmować będzie kulturę materialną obu Ameryk w oryginałach i replikach oraz życie współczesne. W trakcie trwania wystawy planowane są liczne imprezy towarzyszące np. sesja naukowa połączona z pokazem filmów dokumentalnych i fabularnych (w dn. 11 października). Osoby gotowe pomóc prosimy o kontakt: Anna Tomala, ul. Magiera 5/22 01-373 Warszawa.

2. W ramach obchodów 500-lecia planowane są również spotkania pod auspicjami Stanów Zjednoczonych i Kanady w Warszawie oraz konsulatami USA w Poznaniu i Krakowie. Główne obchody odbędą się w Warszawie. Kto nie przyjedzie do stolicy może udać się do Poznania lub Krakowa. Spotkania odbędą się we wszystkich tych miastach o godz. 10 rano. Akcja ta ma charakter informacyjny i popularyzatorski: tańce, śpiewy, rozdawanie ulotek itp.

Informacji udzielają, w Warszawie: Anna Tomala, ul. Magiera 5/22, 01-373 Warszawa.

w Poznaniu: Józefina Zalewska, os. Pod Lipami 3/77, Poznań

w Krakowie: Eryka Papp, ul. Winiarskiego 13/35, 30-336 Kraków

Organizatorzy liczą na pomoc i uczestnictwo.

Ameryka Indianńska

"500-lecie pierwszego przybycia Krzysztofa Kolumba do Ameryki, okrągła rocznica symbolicznego "odkrycia" Nowego Świata, skłania do głębszych refleksji nad naszą świadomością historyczną, m.in. także do rewizji tradycyjnego, barokowego jeszcze w swej genezie obrazu Ameryki".

Słowa prof. dr. hab. Konstantego Kalinowskiego, Dyrektora Muzeum Narodowego w Poznaniu zapoczątkowały katalog wystawy "Ameryka Indianńska - Spotkanie Dwóch Światów" w Muzeum Etnograficznym w Poznaniu. Przygotowana została przez Muzeum Narodowe w Poznaniu. Ekspozycję uformowaną z własnych zbiorów etnograficznych i archeologicznych wzbogacono obiektami udostępnionymi przez muzea ze Szczecina, Krakowa i Gdańska oraz uzupełniono głównie prywatną kolekcją Leszka Michalika ze Sztumu.

Prezentowane na wystawie eksponaty mają niejednorodny charakter i zróżnicowaną wartość. Do najcenniejszych obiektów należą bez wątpienia ceramiczne i kamienne wytwory o charakterze obrzędowym z obszaru prekolumbijskiego Meksyku. Specyficzny natomiast charakter ma zbiór ilustrujący indiańską kulturę Wielkich Równin i Prerii, gdyż jest on kolekcją złożoną z doskonale wykonanych replik. Umieszczone na wystawie przedmioty, choć nie są autentycznymi, to odtworzone zostały przez ich właściciela Leszka Michalika w sposób całkowicie wierny dzięki zastosowaniu odpowiednich materiałów i tubylnych technik wytwórczych. Dzięki temu podziwiać możemy kunszt indiańskiego rękodzieła, jego styl i wzornictwo typowe dla schyłkowego okresu rozwoju tej kultury (XIX-XX w.).

Otwarcie wystawy zbiegło się z otwarciem poznańskiego Jarmarku Świętojańskiego, na którym zespół ze Sztumu pokazał kilka oryginalnych tańców indiańskich z Ameryki Północnej, a zespoły z Ameryki Południowej zaprezentowały muzykę andyjską. W trakcie trwania wystawy odbyło się wiele imprez towarzyszących (sympozjum, prelekcje, przeglądy filmów i koncerty).

Wystawa trwać będzie do końca października. Zapraszamy więc do Muzeum Etnograficznego w Poznaniu, ul. Grobla 5/6 - wt., śr., pt., sob. 10-16, niedz. 10-15, pon., czw. nieczynne.

TAWACIN PROPONUJE:

BARCOWSKI DE LAS CASAS: Krótka relacja o wyniszczeniu Indian. "W drodze". Poznań 1933. Las Casas był dominikaninem, który jako jeden z pierwszych wstawił się za Indianami w czasie, gdy hiszpańscy konkwistadorzy polubijając Nowy Świat, niszczyli imperium Inków i Asteków. Jego wydana w 1552 r. "Krótka relacja o wyniszczeniu Indian" do dziś pozostała świadectwem podboju tubylnych ludów Ameryki. Cena 15.000 zł.

LEO DEJEL: Odkrywcę dawnej Ameryki. Warszawa 1950. Ilustr., mapy s. 534. Zawiera ponad 25 relacji z archeologicznych wypraw do Ameryki Południowej, głównie do Peru i Meksyku. "Zamieszczono tu sprawozdania mające przekazać czytelnikom napięcie i urok odzyskiwania indiańskiej Ameryki". Cena 33.000 zł.

LONGIN JAN OKOŃ: Płonąca preria. Powieść o wojnie Czarnego Jastrzębia w latach 30-tych XIX w. Cena: 12.000 zł.

MAREK HAS: Szamańskie medytacje. Kraków 1991. Szamanizm na co dzień. Miniatura, twarda oprawa. Cena: 12.000 zł.

KRYSTYNA i ALFRED SEKLARSCY: Złoto Gór Czarnych. Trylogia indiańska. T.1. Orle piora. T.2. Przekleństwo złota. Katowice 1939. Twarda oprawa, mapy, ilustracje. Cena za każdy tom: 15.000 zł.

WIESŁAW K. NIEDŹWIADEK: Indiańskie techniki zdobienia koralikami. TIPI Wielichowo 1992. Erób to sam (krok po kroku): bransoletki, łańcuszki, rozetki, paski i inne wyroby z koralików. Różne techniki tkania, wyszywania i plecenia koralikami. Dużo wzorów. Cena: 13.000 zł.

EWA NOWICKA, IRENEA RUSIŃSKA: Indianie Stanów Zjednoczonych. Antologia tekstów źródłowych. PWN Warszawa 1991. Twarda oprawa, mapy, ilustracje. Cena: 50.000 zł.

TYLKO SIEMIA PRZETWIA... Mała antologia dawnej i współczesnej literatury Indian Ameryki Północnej. Wybór i opracowanie: Leszek Michalik. Sztum 1992. Legendy i opowieści, pieśni, sztuka krasomówna, wspomnienia i poezja. Cena: 25.000 zł.

Zamówienia przyjmuje:

TIPI, ul. Łąkowa 3, 64-050 Wielichowo

Realizacja zamówień trwa 3 tygodnie. W cenę książki wliczone są koszty opłaty pocztowej.

ZASADY PRENUMERATY TAWACINU

TAWACIN ukazuje się cztery razy w roku. Cena jednego numeru wynosi 10.000 zł., w prenumeracie - 3.000 zł. Osoby zamawiające 5 i więcej egzemplarzy jednego numeru otrzymują 15% rabatu. Dla sklepów księgarskich i hurtowni - dalsze zniżki.

Tylko prenumerata zapewnia regularne otrzymywanie TAWACINU. Zachęcamy do prenumeraty na drugie półroczcie. Kwotę 15.000 zł. (za 2 numery) należy wpłacić na konto (zielony blankiet):

TIPI, Marek Maciołek
ul. Łąkowa 3
64-050 WIELICHOWO

BS w Wielichowie
Rk nr 55531-135-61

Prosimy o dokładne i czytelne podawanie adresu.

UWAGA dwie osoby z Grudziądza: ANNA JAMAS i PIOTR CZERWIŃSKI - prosimy podać dokładny adres. OLEK z Tarnobrzega - przesłał nam pieniądze za TAWACIN, a nie podał swego nazwiska ani adresu. Odezwił się. Osoby znające Annę, Piotra i Olka prosimy o skontaktowanie ich z Redakcją.

UWAGA: Nie przyjmujemy już zamówień na zaległe numery TAWACINU (1-15) oraz broszury z Biblioteki Tawacinu.

SAT-OKHOWI wyrazi najszczerzej wdzięczności za otrzymane egzemplarze *Akwesane Notes* i innych archiwalnych gazet indiańskich.

Marek Nowocien

